Nr. 37. Kraków, dnia 11 września 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Spółki zarobkowe

w Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Poznań, 8 września.

Rok rocznie odbywa się we wrześniu walny Sejm, na który przybywają przedstawiciele wszystkich naszych stanów, zorganizowani w naszych Spółkach zarobkowych i gospodarczych W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich. Corocznie zapełnia się wielka sala Bazarowa tymi przedstawicielami, a jeżeli kiedykolwiek duch wielkiego twórcy Bazaru, Karola Marcinkowskiego, przebywa z radością i z dumą w tym gmachu, to jest to niewątpliwie w dniach Sejmiku Związku Spółek.

Tak duch jego.

Przecież jego marzeniem było dać silne podstawy gospodarcze naszemu stanowi średniemu. Jego marzeniem było, przyciągnąć te warstwy do wspólnej pracy obywatelskiej, nauczyć je myślеć i dbać o siebie.

Na żadnym innym polu praca ta nie uwydatnia się tak korzystnie, jak właśnie na polu pracy gospodarczej w naszych spółkach. Nigdzie nie widać potęgi organizacyi w świetle tak jasnem i dobrem, jak właśnie na tem polu. W spółkach pracuje robotnik fabryczny, górnik i hutnik obok ziemianina-szlachcica, obok duchownego, obok adwokata, lekarza i wszystkich przedstawicieli t. zw. inteligencyi zawodowej. Obok nich gospodarz wiejski, rzemieślnik. Jednem słowem niema dosłownie zawodu, któryby w spółkach naszych nie posiadał swych przedstawicieli, nie ma innemi słowy nikogo, co rozwojem spółek nie byłby interesowany.

Wszyscy od najniższego do najwyższego mamy interes w rozwoju spółek, bo potężna ta organizacya łączy nas wszystkich — bez różnicy stanów, zawodów, poglądów politycznych, bez różnicy nawet płci. Nam wszystkim zależy na ich rozwoju, bo wszyscy jestśmy z nimi związani bądź członkostwem, bądź książeczką depozytową, w której zapisano nam nasze oszczędności. Organizacya spółek to nie nić, łącząca nas, lecz łańcych potężny, silny, który nas wiąże w jedną nierozerwalną całość.

Stąd z niecierpliwością niemal wyczekujemy czasu, w którym ukazuje się przed Sejmikiem roczne sprawozdanie Związku Spółek zarobkowych, by z martwych cyfr, w niem zawartych, wywnioskować, czy naprzód idziemy, czy też cofamy się w rozwoju naszym gospodarczym.

Obecne trzydzieste ósme sprawozdanie za rok 1909 nie zawiodło nadziei, że na polu gospodarczym rozwijamy się stale. Liczba spółek wzrosła w roku ubiegłym o 14, wynosi więc obecnie 248; prócz tego kandyduje do Związku 20 nowo założonych spółek. Sprawozdanie nie obejmuje 23 spółek, które istnieją w obrębie Księstwa i Prus zachodnich, lecz nie są członkami Związku. Nader pakaźnie wzrosła w roku ubiegłym liczba tych, co wstąpili jako nowe ogniwa łańcucha, któremu na imię Związek Spółek; nowoprzybyłych członków ma Związek przeszło 11,000, a ogólna ich liczba wynosi 116,849 Podczas gdy z r. 1907 na 1908 suma pieniędzy, wypożyczonych na weksle, wzrosła tylko 18 i pół miliona, wzrosła ta suma w r. 1909 da kolosalnej cyfry 177,413,642 mk., to znaczy o przeszło 31 i pół miliona.

Pocieszającym jest również fakt szybszego, niż w latach ubiegłych, przyrostu kapitałów własnych spółek. Kapitały te, fundusze rezerwowe, osiągnęły w r. 1909 sumę 10,892,145 mk., wzrosły więc w porównaniu z rokiem ubiegłym o blisko 2 miliony, podczas gdy w latach ubiegłych suma ta wzrastała o wiele wolniej. Podniosła się również suma pieniędzy, spłaconych spółkom na udziały z 19,230,392 mk. na 21,909,831 mk.

Z największą jednak dumą patrzymy na ogromną cyfrę, przedstawiającą depozyty, pieniądze zaoszczędzone już nie przez członków, lecz przez całe społeczeństwo. Suma ta wynosi 177,333,297 marek; wzrosła ona w przeciągu roku o blisko

29 milionów. Suma ta mówi nam ogromnie wiele, nietylko o spółkach, lecz i o społeczeństwie samem. Świadczy nam ona, że z jednej strony rośnie z dnia na dzień zaufanie do naszych spółek, należących do Związku; że z dnia na dzień rośnie w społeczeństwie naszem świadomość, iż grosz zaoszczędzony a złożony w jednej ze spółek, należących do Związku, nie przepadnie, że spółki nasze administrowane są rzetelnie i uczciwie.

Z drugiej srrony suma ta świadczy pochlebnie o społeczeństwie. Snać rośnie wśród niego zmysł do oszczędności, wzrasta umiejętność gospodarowania tak, iż nietylko koniec z końcem się zwiąże, ale odłoży coś na czarną godzinę. To objaw pocieszający. Lecz czy wielka część tych pieniędzy, leżących w spółkach na depozytach za małym stosunkowo procentem, nie mogłaby być przez ich właścicieli użytą, oprocentowaną korzystniej? Na pytanie to odpowiedzieć trudno. Sprawozdanie nie podaje bowiem wskazówek, które byłyby bardzo upragnione, kto składa pieniądze na depozyty, i na jaką sumę jednostek rozkłada się powyższa cyfra 177 przeszło milionów. Rozumiemy, że podanie tych wskazówek dla olbrzymiej pracy jest wprost niemożliwem, lecz dane te pozwoliłyby choć w przybliżeniu osądzić, ile pieniędzy w tej sumie 177 miljonów powinniby ich właściciele użyć do rozszerzenia własnych warsztatów pracy, przy czem odnieśliby niewątpliwie korzyści o wiele większe, niż przy więzieniu ich kasach. W ten sposób dałoby się osądzić, czy ta napawająca nas dumą cyfra nie jest poniekąd dowodem, że brak u nas zmysłu kupieckiego, przedsiębiorczości, że zamiast pracować pieniędzmi naszemi sami, wolimy, by nimi pracowały nasze spółki.

W końcu zaznaczamy, że ogólna suma, jakie przedstawiają bilansy naszych spółek, wynosi 234 140 096 mk. I ta suma wzrosła od roku ubiegłego bardzo poważnie — o 40 i pół miljona, — świadcząc niemniej o rozwoju naszego życia gospodarczego.

T. P.

Listy z Poznania.

(Korespondencya własna).

II.

Było w katedrze wiele nagrobków z bronzu i marmuru, ale czas je zniszczył tak, że zaledwie parę zostało. Grobowiec Przemysława I i jego żony Ryksy piorun skruszył w r. 1371, więc z panujących mają tu swoje nagrobki tylko Mieczysław i Bolesław Chrobry w Kaplicy Królewskiej, wystawionej w stylu bizantyjskim staraniem Edwarda hr. Raczyńskiego ze składek publicznych. Popioły tych królów spoczywały ongi pośrodku katedry; nad grobowcem Chrobrego leżała postać jego z kamienia wykuta, na kończynach spodniej płyty wyryty był pismem starem i zaledwie już czytelnem w r. 1600 znany wiersz łaciński: Hic jacet in tumba i t. p. Ołtarz, który niegdyś stał przy tym pomniku, przeniesiony już był w czasie wizyty kościelnej Tholibowskiego do pierwotnej Kaplicy Królewskiej, zwanej Brzeźnicką. W r. 1774, wystawiła Kapituła nowy pomnik z białego kamienia, na którym leżał Chrobry w zbroi z berłem, trzymając w jednej ręce Orła Białego, a w drugiej miecz z jabłkiem królewskiem; na głowie miał koronę z białego kamienia. Kształt pomnika tego przedstawiał czworobok, na którego dwóch stronach byli wyobrażeni apostołowie, a na dwóch pozostałych Zwiastowanie i Ukoronowanie N. Panny. W lat 20, pomnik ten usunięto „dla niekształtnej staroświecczyzny“, natomiast zamierzano „w innem miejscu ozdobniejszy wystawić“. Pożar katedry, zawalenie się wieży i inne powody wykonanie zamiaru odwołały. Od roku 1816, wciąż myślano „o spełnieniu długu wdzięczności względem pierwszych monarchów“, lecz dopiero zabiegi Edwarda hr. Raczyńskiego uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem: w Kaplicy Królewskiej stanął pomnik dwóch pierwszych Piastów spiżowy, pomysłu Raucha, a samą kaplicę przyozdobiono obrazami Brzozowskiego, Salandriego i Millera.

Z innych pomników zwracają uwagę: Wawrzyńca Górskiego, biskupa poznańskiego, zmarłego w r. 1607, dyplomaty i autora ksiąg „De optimo senatore“, „De optivo cive“, „Witanie Rad i Stanów Koronnych do króla Zygmunta III“; biskupa Andrzeja Szóldrskiego, dobrodziej katedry i Kapituły biskupa Uryela Górki, zm. w r. 1498 wykonany w r. 1547 z polecenia Andrzeja Górki przez rzeźbiarza krakowskiego Hieronima Canevexi; Andrzeja Górki, kasztelana poznańskiego, zm. w r. 1553, dyplomaty i rycerza z pod znaku Jana Tarnowskiego. Lecz najcelniejszym dziełem sztuki jest pomnik spiżowy Łukasza Górki, wojewody poznańskiego, zm. w r. 1475. Przedstawia on rycerza w pełnej zbroi i w całej figurze, z rękami rozłożonemi, na dwóch mieczach po obu stronach wspartemi; nogi rycerz opiera na lwie siedzącym. Dokoła, w obramowaniu, biegną napisy.



Znaczenie obchodów :: narodowych ::

Potężną dźwignią patryotyzmu bez zaprzeczenia są obchody narodowe, — obchody różnych pamiątek dziejowych. Obchody narodowe to najlepsza szkoła, w której się uczy lud polski miłości Ojczyzny, szanowania tradycyi, zwyczai i obyczai polskich; przez nie krzewi się zamiłowanie do mowy ojczystej, a młodzież broni się od wynarodowienia.

Gdyby księża w kościołach zaniechali odprawiania nabożeństw i wygłaszania kazań religijnych, to w krótkim czasie lud powierzony ich pieczy duchowej zobojętniałby dla religii, przestałby się modlić i bezwyznaniowość wzięłaby górę nad pobożnością. Jeżeli więc nabożeństwa codzienne, kazania niedzielne, świąteczne i misyjne podtrzymują w ludzie moralność, wiarę w niebo i życie pozagrobowe, tak samo obchody narodowe podtrzymują w narodzie wiarę w lepszą przyszłość patryotyzm, który nakazuje kochać Ojczyznę, szanować swój język i pracować nad oswobodzeniem Polski z więzów niewoli. Odejmijmy ludowi polskiemu obchody, zaprzestańmy pisać o Polsce i patryotyzmie w gazetach i książkach, a za kilka lub kilkanaście lat naród nasz przestanie istnieć jako taki i pójdzie w służbę obcych — wynarodowi się, zaniecha języka polskiego i zleje się z obcymi żywiołami. Jeżeli więc słowo pisane podtrzymuje silnie w narodzie poczucie obowiązków, jakie na nim ciężą względem Ojczyzny i własnego społeczeństwa, to tem potężniejszy wpływ wywiera słowo żywe głoszone przez mówców z estrad w salach obchodowych, zapala ono serca, budzi ducha, dodaje bodźca do pracy dla własnego dobra — słowem jest rozsadnikiem wielkiej idei, jaką zowiemy patryotyzmem, a która jest wyższą ponad wszelkie inne idee.

Obchody narodowe lud nasz mieć pragnie, uczęszcza na nie i wyrabia się coraz więcej narodowo, obywatelsko i społecznie.

Powoli obchody zdobyły sobie prawo obywatelstwa, weszły w krew, wżarły się w mózg nasz i stały się naszą potrzebą. Obchody wychowują nam inne, światlejsze społeczeństwo, uświadamiają narodowo i rozwijają kulturalnie. Muszą więc być urządzane dla kształcenia w patryotyzmie naszej młodzieży, która nie pouczana czem jest i czem być powinna, wnet utonie w obcem morzu i przepadnie dla polskości na zawsze.

Obchodów nie życzą sobie "nasi najmilejsi", bo oni wiedzą czem one są dla nas, bo wiedzą, że obchody, to najstraszniejsza i najpewniejsza broń w ręku polskim, więc je zwalczają zawzięcie. Wiedzą oni dobrze, że obchody uczą i wyrabiają lud, zagrzewają go do wytrwałości, do oporu przeciw wszelkim zakusom wynarodowienia, podtrzymują w narodzie moc niespożytą i wiarę we własne siły, umacniają go w miłości Ojczyzny i bronią języka polskiego, więc też ze wszystkich sił walczą przeciw wszelkim naszym obchodom narodowym.

Mamy najlepszy dowód z ostatniego szału, jaki opanował hakatystów niemieckich z okazyi wielkiego obchodu grunwaldzkiego w Krakowie, że obchody te muszą być dla nich postrachem, że uważają je za groźniejsze dla siebie od kul i bagnetów. Wróg wie dobrze, żeśmy potężni liczbą, a gdy jeszcze ta liczba będzie uświadomiona narodowo, to i dręczenie nas przez wroga nie tak łatwem będzie.

Jeżeli więc wróg zabrania nam czegoś, to rzecz ta musi być groźną dla niego, a pożyteczną dla nas. Niech on się miota, pieni, zżyma — niech wydaje zakazy i protesty, my uświadamiajmy lud narodowo i społecznie, bo w ludzie uświadomionym leży nasza siła i przyszłość.

Czem one święta narodowe są dla nas, świadczy obchód grunwaldzki w Krakowie, który zgromadził setki tysięcy rodaków. Pozostanie on na wieki w pamięci tym, którzy w nim udział brać mogli, którzy przygnębieni uciskiem i walką oddychali tam wolną piersią i żyli świętością chwili. Wszakże żyć warto i cierpieć, by doczekać się chwili tak cudnej, podniosłej. A któż nam zgotował one święto dusz, jeźli nie zwyczaj obchodzenia rocznic — jeśli nie rocznica, pamiętajmy więc o nich zawsze.



Pierwszy krok do okrucieństwa.

Każdy badacz psychologicznych objawów życiowych przyznać musi, że człowiek jest — okrutnem stworzeniem. Ogromna liczba faktów z historyi, np. tortury w średnich wiekach, okrucieństwa żołnierzy, niektóre obrzędy religijne pogan, a wreszcie fakta, jakie codziennie konstatować możemy, np. sportowe dręczenie zwierząt, wiwisekcye, złe obchodzenie się z dziećmy w niektórych zakładach, liczne przykłady morderstw wy-

uzdanych i inne przestępstwa — są doprawdy straszne a nie zrozumiałe...

Obecnie w pewnych naukowych a humanitarnych kołach zastanawiają się nad tem, jak łatwo drobnostka doprowadzić może człowieka do wspomnianych okrucieństw i jaka rada, by zapobiedz tym instynktom. Bywają ludzie, obdarzeni inteligencyą; samosiępoznawający i uczuwający te niskie i niebezpieczne drzemiące w nich porywy: wówczas powstrzymują się, by im się nie poddawać, by czuwać nad sobą i opanowywać się. Widzieliśmy nieraz jak człowiek w złości, jeśli nie może na kim innym, pastwi się nad biednym psem lub koniem. Otóż znając popędy do okrucieństwa w ludzkiej naturze trzeba bardzo uważać na postępki u dzieci, u których czasami w napozór niewinnych czynach już okrucieństwo się objawia. Do tych to czynów, które przeważnej liczbie ludzi wydają się najzupełniej niewinne, a jednak złe są i ujemnie wpływają na normalny rozwój dziecka, należy przedewszystkiem — chwytanie owadów i uśmiercanie ich, a w zadowoleniu, z jakiem to niektóre dzieci czyniu, ujawnia się ich jakoby już szatański charakter. Jest bardzo wiele dzieci pozbawionych opieki i nauk rodzicielskich w tym kierunku, pouczających je, jak wstrętnem jest wszelkie niepotrzebne zabijanie zwierząt, niszczenie roślin — które wprost przejść nie mogą koło kwiatów, krzaków, małych zwierząt, bez pragnienia posiadania ich lub zniszczenia. Cała piękność natury na wiosnę, nie cieszy ich, dopóki pociągowi swemu niszczenia nie popuszczą wodzy. Właśnie najpiękniejsze kwiaty, najpiękniejsze zwierzęta (motyle, ptaki) obudzają namiętną chęć posiadania i męczenia. Tak później dorosły człowiek, z upodoboniem pastwi się nad zwierzętami i istotami, które mu się najbardziej podobają. Zagadka to psychologiczna, a jednak rozwiązalna.

Najwięcej ludzie patrzą na wzwyż wspomniane postępowanie dzieci zupełnie bezmyślnie; bardzo wiele rodziców darowuje dzieciom siatki na motyle i inne łapki na zwierzęta, sami pierwsi podają im myśl zadowolenia i uciechy w łapaniu i męczeniu zwierząt! W niektórych szkołach nawet nauczyciele polecają łapanie owadów i konserwowanie tychże rozciąganiem na śpilkach! Bardzo wiele osób nie wie, czy nie zastanawia się nad tem, że jeśli owady żyją, to i czują, lub myślą, że czują bardzo mało, tak jak małą jest litość na widok brzęczącego z bólu w śmiertelnych ruchach i drganiach stworzonka. A przecież badając życie owadów, obserwując je, odkrywamy w nich i przyznać musimy wiele danych, wskazujących jakie najniepozorniejsze czasem stworzonka, duchowe i umysłowe rozwijają zdolności. Weźmy np. pszczoły, mrówki, pracę ich i przebiegłość, z jakiemi walczą w przeszkodach, które im człowiek nieraz choćby dla rozrywki przygotowuje, nie przez naturę im podsuwane, w którym to wypadku możnaby o instynkcie mówić, jak umieją bronić się i radzić sobie, naprawiać to co im wyższe stworzenie, mądrzejsze, obdarzone duszą nieśmiertelną popsuje. Następnie, ta ich ofiarność z jaką sobie pomagają, to i tysiączne inne rzeczy dowodzą, że te malutkie, a tak do człowieka niepodobne istotki, umieją myśleć i czuć muszą. Nie trzeba też mierzyć czucia tych stworzonek, miarą ich obojętności. Szekspir powiada: „I biedny chrząszczyk nogą twą zduszony, ten sam ból czuje co olbrzym zwalczony.“ Nawet gdybyśmy pewni byli, że uczucie i cierpienia u owadów, bardzo są słabe, że zabijanie gwałtowne np. motyli nie sprawia im cierpień więcej jak ukłucie szpilką, nawet i wówczas, bezcelowe zabijanie zwierzątka, jest nagannem.

Każda chęć niszczenia, lub też przyjemność w sprawianiu bólu i przykrości choćby zwierzętom, jest uczuciem szatańskiem. Niektórzy pedagogowie utrzymują, że łapanie owadów potrzebne jest dzieciom do badań rozmaitych, w życiu ich, barwach itp; najsmutniejszym objawem zboczonych instynktów ludzkich, jest właśnie uniewinnianie postępków swoich potrzebą; ażeby się dokładnie nauczyć historyi naturalnej — trzeba męczyć zwierzęta! A wszak można tego uniknąć — bez uszczerbku dla wiedzy! Wszystko to samo jak na żywych, widzimy w książkach, malowane i opisane najdokładniej. Zaś nawyczek zwierząt, ich zdolności, badać nie można w żadnych akwaryach ani teraryach tylko u żyjących. Zabite — nie uczą niczego, ujęte w niewolę, nieśmiałe i bojaźliwe, zdolności rozwinęć nie zdolne, zatem najfałszywsze o sobie pojęcie dające. Doprawdy, niejednokrotnie człowiek przyzwyczaja się uważać naturę za zabawkę, zamiast wnikać w jej tajemnice i cieszyć, obserwować pulsujące życie. Szacunek, dla każdego życia, budzić w dziecku trzeba, uczyć je zdolności odczuwania cierpień i radości stworzeń Boskich, podniecać ich chęci tak w pielęgnowaniu roślin jak obchodzeniu się miłosiernem z wszelkiego rodzaju łagodnemi zwierzątkami, wówczas osiągnie się cel podwójny, nauczą się pojmować życie zwierząt — i kształcić będą serca! Ujrzawszy motyla lub ptaka, niechaj dziecko wraz z niemi cieszy się ozdobą i śpiewem, niechaj uczy się, że radość w życiu i wdzięczność Bogu, uczy stworzenia wesołego fruwania i gło-

sów, niech w lesie, w ogrodzie, szuka tajemnic piękności żyjącej natury, a będzie i serce jego przepełnione miłością i litością, i z pewnością nauczy się więcej jak zabijaniem i męczeniem. Do największych umiejętności i największem zadaniem w wychowaniu jest wytępianie w dzieciach chciwości do posiadania tego, czego im się koniecznie zachce, a pouczanie ich, by cieszyły się tem co piękne, chociaż tego posiadać nie mogą.

Ludzie często więcej cieszą się posiadaniem jakieś bezwartościowej drobnostki, aniżeli pięknym pomnikiem np. należącym do ogółu; małej wartości oleodruk w domu, milszym im jest niż oglądanie cennego malowidła na wystawie publicznej; łąka okryta kwieciem mniej im przyjemności sprawia, aniżeli kwiat, który w ręku trzymają; śpiew setek ptaków na wolności mniej im przyjemności sprawia, aniżeli jeden własny uwięziony w klatce; taka jest wyrobiona i nieuformowana natura ludzka, że niektórych wprost dręczy widok sarny lub ptaka, dopóki nie może okazać się panem jego życia; cieszy się niemi dopiero, kiedy skrwawiony u stóp jego leży. I — wierzcie, żadnym sposobem nie upiększycie i nie uposażycie lepiej życia dzieci waszych, jak wytępianiem w nich tej chciwości, połączonej często z zazdrością i wpajanie w nich poczucia piękna, uciechy z piękna, chociażby ono do nich nie należało. Dobre serce, ogarniająca niem wszystko miłość, da dzieciom waszym szczęście, chociażby w przeciwnościach losu, a nauczać tego łatwo można, pokazując dzieciom n. p. gniazdo ptasie, z uwagą zwróconą na wspólne tych ptaków miłosne życie, na troskliwość z jaką starsze pielęgnują młode: wówczas stanie się ono i w pojęciu dzieci świętością, której dotknąć jest przestępstwem. Tak i z motylami: niech cieszą się ich widokiem nie chwytając ich; tak z kwiatami — które nie koniecznie są na to, by je zerwać i bezmyślnie listki obskubywać I dziecko zacznie uczuwać radość z tej cudnej natury bez chęci niszczenia i zabijania, a serduszko żywiej bić będzie na widok tego wszystkiego, aniżeli radość posiadania i niszczenia.

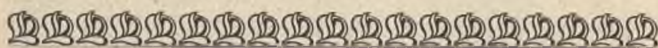
Bardzo ceniony prawnik — Perner, pierwszy założyciel towarzystwa „ochrony zwierząt“ powiada w swojej książce zatytułowanej: „Główne błędy wychowania“ (1858): „Gdyby szatanowi było dozwolonem wychowanie dzisiejszej generacyi, to jakichże innych środków użyłby ku temu celowi, jak nie tych właśnie: Dzieci... ćwiczyć w oboję-



Zdrowaś Marya.

tnem zabijaniu zwierząt, wyrywać owadom nóżki i skrzydełka żywe przekłuwać szpitkami itd.“ Kto chce dzieci robić małymi szatankami, niechaj nie omieszka obdarzać je narzędziami służącemi do dręczenia i zabijania niewinnych stworzeń.

I nie tylko tych najgorszych okrucieństw, ale i zabaw ze zwierzętami, sprawiających im cierpienia, niechaj dzieci unikają; nietylko powolne męczenie, ale i niepotrzebne chociażby szybkie zabijanie zwierząt, powinno być im wzbronionem. Wierzcie, jest to przeciwko dziecku popełnionym grzechem, pozwalanie mu dla zabawy — zabijać — i dręczyć. — Rodzice szczęśliwi, którzy mogą na czas wakacyi wysłać dzieci na wieś, — pamiętajcie, że gorszej krzywdy uczynić im nie możecie, jak obdarzając je na drogę siatkami na motyle, szpilkami na koreczkach, strzelbami, a nawet wędkami opatrzonemi w korki na ryby. Serce dobrowolnie zabijecie — a brak tegoż w późniejszych latach i wam się da boleśnie odczuć...



Emancypacya kobiet.

Zwolennikom emancypacyi kobiecej poświęcam następującą autentyczną historyjkę z kroniki sądowej:

Do Nowego Jorku przybyła niedawno z Austryi para pracowitych ludzi: pan i pani Mahler. Pani była osobą pełną inicyatywy i rozejrzawszy się w nowych warunkach, założyła magazyn mód.

Magazynowi temu potrzebny był personał, i oto p. Mahler przyjęty został do sklepu własnej żony, w charakterze agenta.

Co jednak zasługuje na uwagę w tej sprawie, to że pan Mahler został zgodzony przez panią Mahler za formalnym kontraktem, z płacą 25 dolarów tygodniowo.

Oboje małżonkowie dzielnie się sprawowali na swoich stanowiskach. Pani Mahler była doskonałą modystką, pan Mahler wybornym agentem. Interes się znakomicie rozwijał.

Widząc to, pan Mahler, w poczuciu swojej wartości zawodowej, pewnego razu zażądał podwyżki.

Czuł, że wart był więcej, aniżeli 25 dolarów tygodniowo.

Ale pani Mahler odmówiła.

Zdarzyło się, że na tejże ulicy powstał znowu magazyn mód, konkurencyjny, i ten, dowiedziawszy się o trudnościach położenia agenta Mahlera zaproponował mu miejsce, z płacą 50 dolarów tygodniowo.

— Dobra nasza! — rzekł sobie p. Mahler — i podpisał zaofiarowany mu kontrakt.

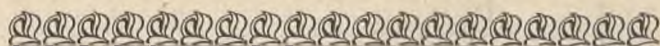
Otóż ztąd wynika kwestya prawna: czy on miał, czy nie miał prawa tego zrobić.

Pani Mahler, uważa, że mąż powinien pracować wyłącznie w interesie żony, i mocna tem przekonaniem zaskarżyła go do sądu.

Nielada orzech będzie miał sąd nowojorski do zgryzienia.

A z tej historyi widzimy, że kompletna emancypacya kobiet wywoła niejedną sprawę skomplikowaną, przed którą sprawiedliwość, pełna kłopotu, długo będzie musiała — „drapać się po głowie“, że tak powiem...

Perip.



Z tajników Londynu.

Nigdzie nie można się lepiej ukryć, jak w Londynie, nawet w Saharze nie można być samotniejszym niż na pustyni, zwanej Londynem. Poza rogiem swego domu, jest się już nikomu nieznanym.

Na każdej ulicy możnaby wejść do byle jakiego domu, wynająć sobie pokój i przeżyć tam całe życie, a niktby się nie zapytał, kim się jest, skąd się przybyło i w jakim celu. Sąsiad londyński, to najosobliwsze stworzenie na świecie. Człowiek o siwych włosach mógłby wejść do któregoś z domów, wynająć pokój i niezadługo wyjść zeń w peruce o blond włosach, a jednak niktby się zmianą w jego powierzchowności nie zainteresował. Można w ogródku swoim za domem odbywać ćwiczenia strzeleckie, kopać doły, żonę swą zamordować, stworzyć nową religię, odprawiać dziwaczne obrzędy, mieszkać w beczce i wogóle uprawiać wszelkiego rodzaju waryactwa — a nikt się tem nie zainteresuje, nikogo to nie zastanowi. Każdemu tu bowiem wiadomo, że Londyn jest schroniskiem wszelkich dziwaków, oryginałów i fanatyków. Ich żywot tajemniczy, ich cudackie niepojęte zachowanie się, nie sprawia na nikim wrażenia. Jeśliby kto chciał zwrócić na siebie uwagę swoich sąsiadów, musiałby conajmniej na szereg lat wynająć sobie liczną kapelę muzyczną, złożoną z samych instrumentów dętych, ubrać jej członków w pstre uniformy i zobowiązać ją do napełniania ulic Londynu codziennie przeraźliwym hałasem, musiałby dalej



Wesele krakowskie.

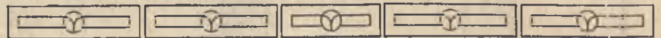
misyę swoją obwieścić ogromnymi plakatami, któreby ustawicznie przed nim noszono; tak postępuje armia zbawienia, takimi sposobami prowadzą agitacyę sufrażystki. Możnaby całe epopeje wyśpiewać na temat osobliwych właściwości mieszkańca Londynu. Daremną rzeczą byłoby zwrócić się do londyńczyka o jakąś informacyę, zapytać go o drogę, o ulicę, o sklep jakiś w najbliższem chociażby otoczeniu. Londyńczyk prawie nigdy nie jest w stanie udzielić informacyi.

Nic w tem dziwnego, nie jest to bowiem łatwo w Londynie się dobrze oryentować, a zresztą nikt nie ma czasu ani ochoty interesować się obcymi interesami. Z tego powodu obcokrajowca bierze nieraz istna rozpacz. Prawie każdemu obcemu zdarzyło się już, że krążył dzień cały po jakiejś okolicy, chcąc się dostać do mieszkania swego znajomego. Po bezskutecznem dopytywaniu się o ulicę u policyantów, dorożkarzy i przechodniów wraca się późnym wieczorem do domu, aby się następnego dnia przypadkiem dowiedzieć, że było się o kilkadziesiąt kroków oddalonym od poszukiwanej ulicy, a jednak nikt w pobliżu nie wiedział o jej istnieniu.

Kto dobrze zna Londyn uzna mimo tych stosunków za słuszne zdanie, mogące się wydać paradoksem, iż niema na świecie miasta, któreby dawało większe bezpieczeństwo (i to nietylko zbrodniarzom). Można spokojnie przejść obok grupy andrusów lub pijaków, nie doznając zaczepki, ani słysząc za sobą obelżywych wyzwisk. Powinno się jednak instynktem odróżnić, obok której grupy można bezpiecznie przejść, a którą należy ominąć. Jeśli się widzi grupę mężczyzn lub kobiet wytaczający na widok publiczny swe familijne nieporozumienia i niesnaski, lub grupę przyjaciół, którzy się o coś posprzeczali, wtedy ostrożność nakazuje ustąpić im z drogi, gdyż nieopatrznemu świadkowi łatwo może się dostać pchnięcie sztyletem lub kula, która ominęła przypadkiem swój cel.

Sztywny na zewnątrz, jednostajny, szary Londyn kryje w sobie rzeczy tak dziwne, że mogą się wydawać nieprawdopodobnemi. Oto gdzieś w ukryciu odbywają się tajemnicze obrzędy, mistyczne kulty, uprawiane przez jakieś zagadkowe sekty.

...W środku jakiegoś przestronnego przybytku znajduje się ołtarz, na którym świeci się czerwone światełko. Odurzające dymy kadzidlane snują się w powietrzu. Wzdłuż ścian siedzą lub leżą postacie kobiece w białych szatach z rozpuszczonemi włosami. Zamaskowani mężczyźni spełniają niezrozumiałe ceremonie. Kielich z bronzu, napełniony napojem oszałamiającym, krąży wokoło. Jakiś olbrzym, odziany szatą szkarłatną, z ogromnym mieczem w dłoni, intonuje inwokacyę — inwokacyę Artemidy! Mistrz tego koła mistycznego występujący w czarnej kapuzie, która zakrywa szczelnie całą twarz, tańczy, śpiewa, recytuje coś, wreszcie pada na twarz przed jakąś zieloną kobietą, siedzącą jak bożyszcze egipskie nieruchomo na wysokim tronie i modli się i wzywa Selenę. Przytem rozlega się łoskot tam-tamów i rozbrzmiewają śpiewy. Wir taneczny ogarnia całe zbiorowisko; mężczyźni i kobiety wpadają w szał, tańczą niestrudzenie w koło. Potem... lecz na resztę trzeba już spuścić zasłonę.



OBRAZKI.

I. DYSCYPLINA.

Kiedy Zygmuś skończył osiem lat, zaczęto w domu myśleć poważnie o przygotowaniu go do gimnazyum.

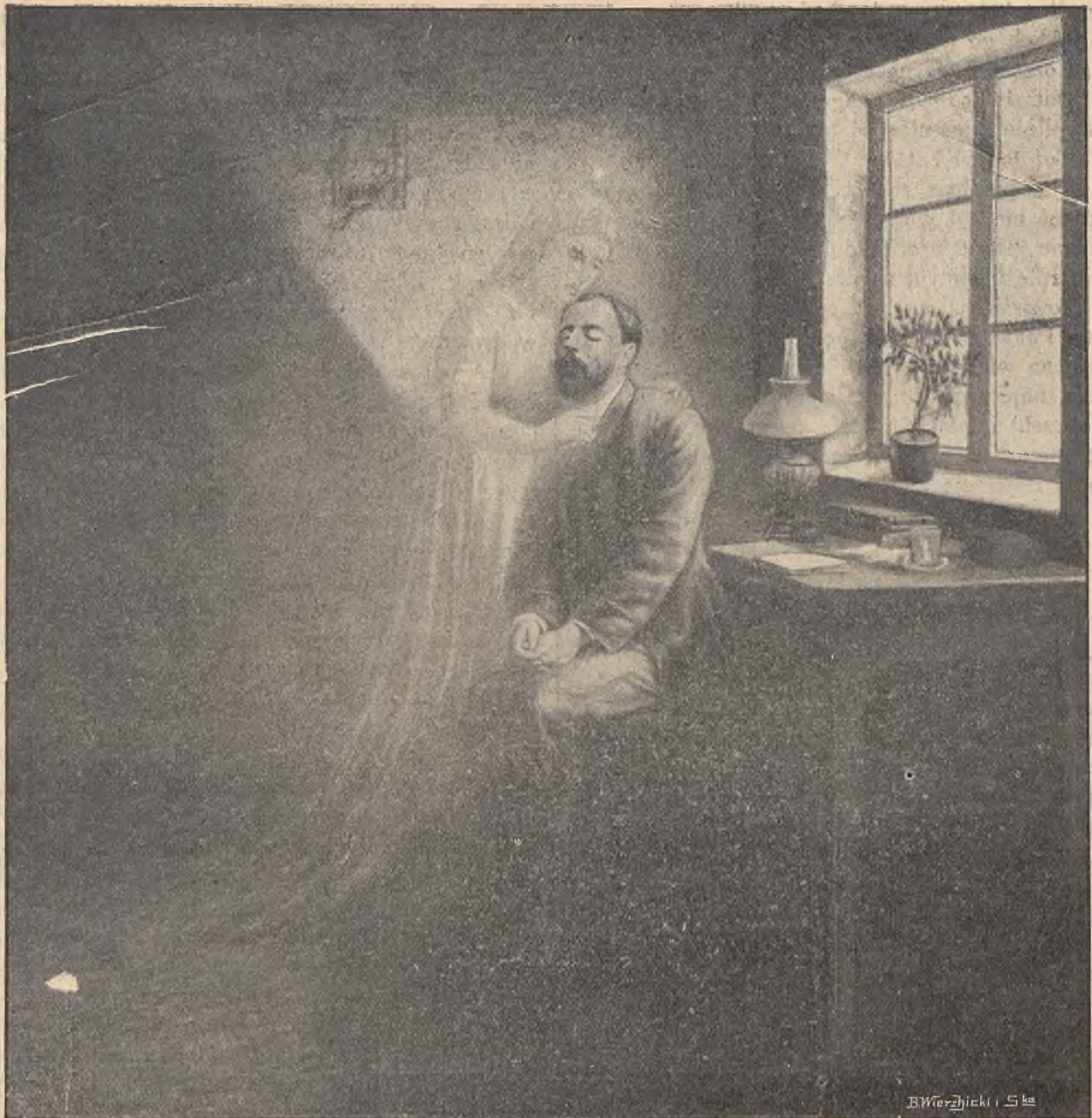
Nauczycielkę, która naturalnie nie mogła poważnie wpływać na wykształcenie „mężczyzny", odprawiono i od pewnego poniedziałku zaczął Zygmusia uczyć taki poważny pan wysokiego wzrostu, o długich czarnych włosach z wielką brodą, groźnywi wąsami i jeszcze groźniejszymi okularami. Bał go się Zygmuś niewiele, ale czuł dla niego szacunek i dumny był ze swego nowego wychowawcy, przeciwstawiając do chętnie poprzedniczce, o której wspominał z wyraźnem lekceważeniem.

Uczyć się musiał teraz znacznie więcej i choć do tego Bogiem a prawdą najmniejszego powołania w sobie nie czuł, nie poddawał się rozpaczy, ani zniechęceniu.

Należy wspomnieć, iż do wytrwałości w pracy pobudzały go dwa czynniki: jeden — to nadzieja wstąpienia do gimnazyum (które samo w sobie coprawda nic nie zawiera pociągającego, powoduje jednak bezpośrednio po pochłonięciu ofiary do swego łona zamianę uprzykrzonych już i słusznie zapewue pogardzanych krótkich majtek na spodnie do samej ziemi), drugi to niełądna, jak ręka człowieka poczciwego, pięć palców posiadająca dyscyplina.

Ach ta dyscyplina!

Dostała się do domu niewiadomo jak, bo to nie weszła ni drzwiami, ni oknem, ani jej bocian nie przyniósł. Zygmuś zobaczył ją po raz pierw-



Duch pocieszyciel.

szy, kiedy już wisiała na ścianie w wyznaczonym dla siebie widocznie kącie, spokojna, cicha, nic groźnego zjawieniem się swojem nie zapowiadająca.

Pytał się Zygmuś mamusi — jak zwykle malec ciekawy — co to za mebel wisi na ścianie w sypialnym pokoju i kto to przyniósł, ale mamusia uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i wyparła się jakiejkolwiek wiadomości o tem, do czego tajemniczy gość służyć może, jak się zwie i skąd wiedzie ród.

Tatuś powiedział tylko, że jest to tak zwana dyscyplina, ale do czego służy — nie wie, pójdzie na miasto, to kogo ze-znajomych spyta i Zygmusia potem dokładnie objaśni. Zygmusiowi nie przypadły do gustu takie odpowiedzi i postanowił sam bliżej tę kwestyę zbadać i kiedy po obiedzie tatuś z mamą wyszli na miasto, zakradł się do sypialni, zdjął dyscyplinę z kołka i zaczął ją badawczo oglądać.

Z początku nieśmiało, potem coraz odważniej w ręku ją obracał, na przemiany za obydwa końce brał, wreszcie genialnem przeczuciem wiedziony

dopadł tekturowego konia i z całym rozmachem po bokach go uderzył.

Roześmiał się na cały głos.

Dotarł do jądra zagadki, wydarł milczącej dyscyplinie tajemnicę jej bytu.

Toż to był bat!

Ale pomimo radości z rozwiązania zagadki Zygmuś nie był w zupełności zadowolony, instynktownie odczuł, że ta dyscyplina odegra w jego życiu rolę nieprzyjazną dla niego.

Powiesił ją na właściwem miejscu, dosiadł konia i inne myśli go zajęły, zdawało mu się, że jedzie na wielkim siwym rumaku przez pola (na takim, naprawdę, prawdziwym koniu, jak te przy dorożkach) i gdzieś tak się spieszy, że gdyby nawet mama na podwieczorek go zawołała, to nie miałby czasu się zatrzymać.

. . . .

A potem wypadki poszły zwykłym trybem...

Minęło dni niewiele i Zygmuś namacalnie przekonał się o celu istnienia dyscypliny.

Wspominać niewarto chyba o tem, że przymusowe poznanie zagadki połączone było z tak przeraźliwym krzykiem, że nawet mieszkająca za ścianą od niepamiętnych czasów stara panna Karwacka, nigdy nie zdradzająca zbyt wielkiego sprytu, domyśliła się odrazu, że kogoś „w skórę“ biją.

I wreszcie mały Zygmuś, gdy przeszedł już ból i silniejsze od bólu wzruszenie, siedząc cichutko w kąciku z tryumfującym uśmiechem rozmyślał (zapewne po raz pierwszy w życiu) nad przewrotnością ludzką.

— Po co ten tatuś — tak mały Zygmuś myślał — skłamał, że nie wie skąd się wzięła dyscyplina i że na miasto dopiero pójdzie się spytać do czego ona jest.

— Oho! nieprawda, napewno nieprawda, on już i przedtem dobrze wiedział po co ta dyscyplina, tylko tak udawał.

II. EGZAMIN.

Straszna, okropna rzecz był ten egzamin do wstępnej klasy.

Janek szedł ze swoim ojcem, trzymając się lewą ręką za połę ojcowskiej marynarki, w prawej ściskając kurczowo zwinięty arkusz bibuły.

Janek wytężał myśl ciągle w jednym kierunku, tymczasem okoliczności zewnętrzne bardzo poważnej natury, jak gdyby zaprzysięgły się nie dozwolić mu myśleć o prawidłach rosyjskiej gramatyki.

Janek starał się z nadludzkim wprost wysiłkiem energii i woli powtarzać przysłówki, w których na końcu powinno się pod grozą nieprzyjęcia do gimnazyum pisać „jat'“, a tu jak na złość w księgarni pana Bucha na wystawie zjawiła się niewidziana przezeń dotąd prześliczna książka w czerwonej oprawie i białym koniem na wierzchu i drogą niewytłomaczonego do dziś dnia łączenia wrażeń Janek myśleć począł o tem, że na przyszły rok podczas wakacyi będzie się uczył pływać i że stryj przyrzekł zaopatrzyć go w tym celu w dwa duże pęcherze...

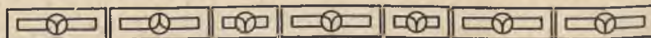
A potem znów leciał „andrus“ z gazetami i choć Janek zdołał z jego osoby myśl swoją skołataną zsunąć bardzo szybko, wiele czasu upłynęło (a czas jest bardzo drogi, szczególnie dla tego, kto idzie do gimnazyum na egzamin), nim się biedak spostrzegł, że zamiast słówek na „jat'“ uparcie powtarza nie przedstawiającą najmniejszej wartości tabliczkę mnożenia.

„Cztery razy pięć — dwadzieścia, pięć razy pięć — dwadzieścia pięć, a to dobre sobie — myśli Janek — a dzisiaj to może być nawet: dwa razy dwa siedm, głupstwo, dzisiaj przecież egzamin piśmienny z rosyjskiego“.

I zamiast się zmartwić tem, że tyle czasu zmarnował, Janek niewiadomo dlaczego, rozbawił się w swoim roztargnieniu i przyszła mu myśl podzielenia się swoim nastrojem z ojcem, więc nie myśląc długo, szarpnął ojca za rękaw i wypalił: „Tatusiu, wie tatuś, jaki ja głupi jestem...“ i nagle myśl mu się urwała, gdzieś uciekła, zapomniał biedny Janek dlaczego to właściwie jest on głupi, zawstydził się, zmieszał i spuścił oczy.

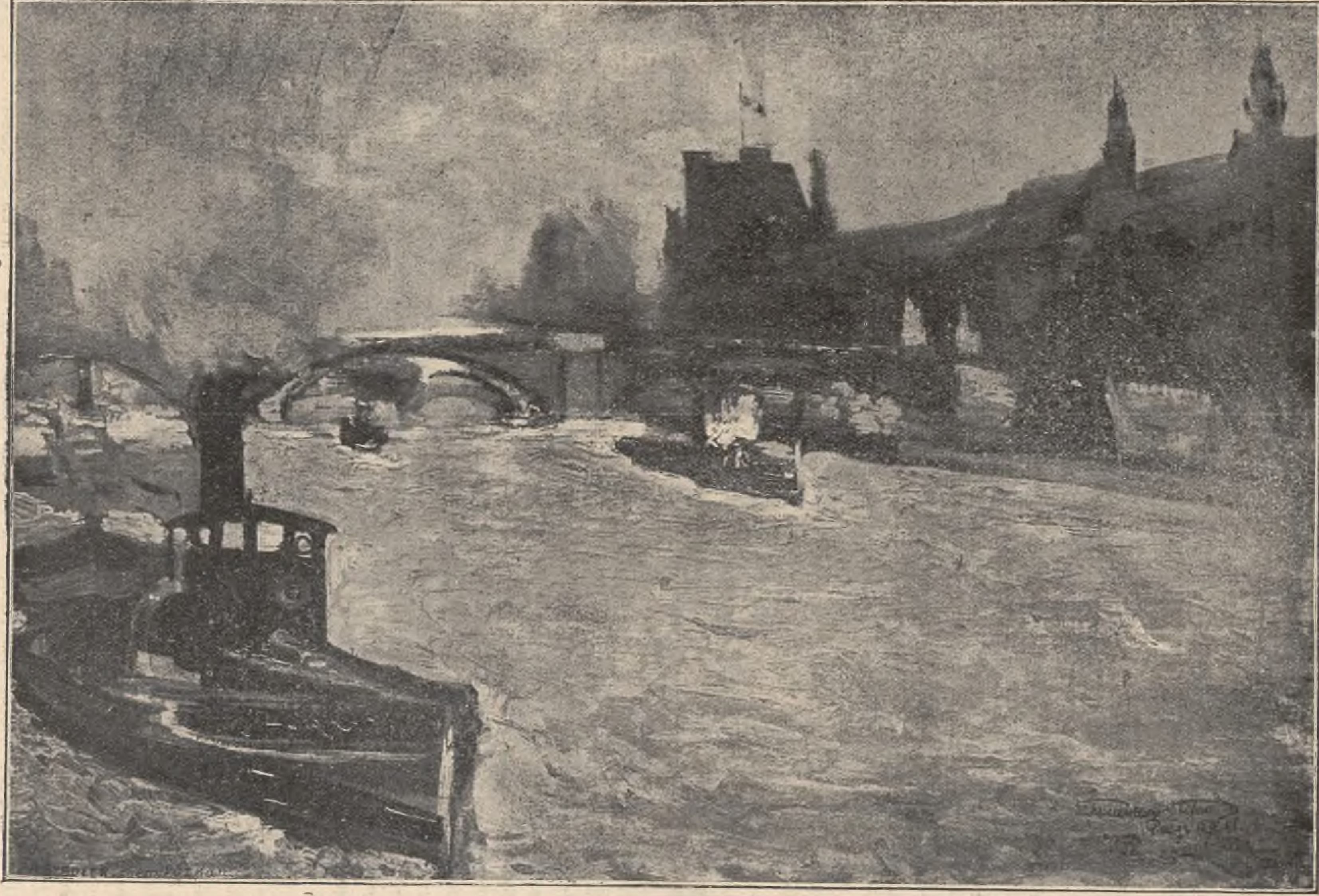
A ojciec myślał snać nad czemś głęboko, bo nawet marsa nie wyprostował, ani na syna nie spojrzał, tylko pod nosem burknął: „Tak, głupi jesteś synku, głupi“.

Kazimierz Wyrzyński.



Zmniejszanie się wilgoci na ziemi.

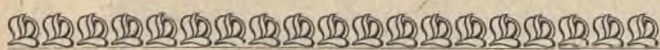
Wśród rozmaitych przewidywań, jakie snuje fantazya zarówno uczonych jak laików o końcu świata, dość często pojawia się teorya o wyczerpaniu wody na ziemi. Zwolennicy jej powołują się na fakty, które niewątpliwie zasługują na na uwagę. Istnieją na ziemi obszerne przestrzenie, na których bardzo widocznie objawia się zmniejszenie się wilgoci. Na Sycylii, w Egipcie, w Azyi mniejszej, w Palestynie, a zwłaszcza w Me-



Louvre w Paryżu. — Dzień pochmurny.

zopotamii i w znacznej części Azyi środkowej klimat uległ w ciągu wieków zasadniczej odmianie, stał się nieporównanie suchszy. Dziś trudno sobie wyobrazić, aby Sycylia mogła być spichrzem zbożowym dla Rzymu, jak była nim w starożytności, lub aby pustynne równiny nad dolnym Eufratem i Tygrysem przemieniły się znowu w urodzajne, falujące kłosami zbóż przestrzenie. Ale zmniejszanie się wilgoci można skonstatować i gdzieindziej. Lodowce alpejskie zanikają z roku na rok; kilka wielkich jezior w głębi Afryki, zwłaszcza olbrzymie jezioro Czad, ma coraz mniejsze rozmiary i głębokość. Tak więc ubytek wilgoci na świecie jest faktem niewątpliwym. Czy jednak można stąd wysnuwać niepokojące wnioski na przyszłość, choćby nawet najbardziej odległą?

Ostatnie badania geografów i geologów, ogłaszane w organie paryskiego Tow. geograficznego, rozpraszają te obawy. Ziemia przechodziła zawsze w ciągu swych dziejów okresy większej i mniejszej wilgoci, obecnie zaś wszystko zaczyna wskazywać na to, że okres suchy, jeżeli można tak powiedzieć, zbliża się ku końcowi. Ilość wody w wielu jeziorach, zwłaszcza w rosyjskiej Azyi, która dotąd stale się zmniejszała, zaczyna znowu przybierać. I tak na przykład poziom Bajkału podniósł się w ostatnich dziesięciu latach prawie o jeden metr; stare jezioro Aralskie, które, jak się wydawało, było skazane na zupełne wyschnięcie, znowu zapełnia się powoli wodą od mniej więcej dwudziestu lat. Te i inne fakta usprawiedliwiają hypotezę, jaką postawił jeden z francuskich uczonych, że świat nasz wchodzi w okres nowego rozwoju, że liczne tereny, leżące dziś odłogiem z powodu braku wilgoci, staną się znowu zdatne do uprawy i że zwiększy się obszar produkujący konieczną żywność dla ludzkości.



Ogrodnictwo w Japonii.

Japończycy są wielkiemi miłośnikami roślin, z upodobaniem i starannie hodują drzewa, krzewy i kwiaty, umieszczając je w prawdziwie malowniczem otoczeniu. Każdy, nawet mniej zamożny Japończyk, musi posiadać ogród, a że po miastach ma na to za mało miejsca, urządza więc sobie przy domu miniaturowy ogródek z miniaturowemi skałami, miniaturową sadzawką, z takimże strumykiem, z przerzuconym przez niego mostkiem i z karłowatemi drzewami. Z hodowli takich drzew słyną Japończycy szeroko, a drzewa ich są ciekawe z tego względu, że nie można ich uważać za okazy okaleczone, monstrualne, lecz za produkta umiejętnej hodowli, za naśladownictwo w miniaturze pewnych drzew, spotykanych w naturze, a odznaczających się jakąś formą niezwykłą.

Hodowla takich drzew miniaturowych odbywa się w specyalny sposób. Przedewszystkiem zasadza się nasienie do małej doniczki z nędzną ziemią i podlewa się je dość skąpo. Gdy już roślinka wydobędzie się z ziemi, odrywa się jej liść wierzchołkowy, a z tworzących się na jego miejscu nowych, usuwa się znów jeden. Wydłużający się pęd zgina się esowato, albo też przewiązuje się w węzeł. Ilość rozgałęzień określa się w taki sposób, że się niszczy pewną liczbę pączków bocznych; te zaś gałązki, które już wyrosną, zagina się w określony sposób, albo też przeplata wzajemnie jedne za drugiemi i następnie przytwierdza w żądanem położeniu włóknami bambusowemi. Jeżeli która z potrzebnych gałęzi zginie, zastępuje się ją nową, za pomocą oczkowania. Korzenie przycina się za każdem przesadzeniem rośliny z mniejszej do większej doniczki i to powtarza się co pewien przeciąg czasu. Zresztą hodowla ulega zmianie w szczegółach, zależnie od rodzaju drzewek. Zawsze jednak podstawę jej stanowi obcinanie oraz wyginanie gałązek i korzeni, obok możliwie skąpego odżywiania i podlewania rośliny.

Na takie drzewka karłowate nadają się szczególnie niektóre gatunki jak: tuje, sosny, jałowiec i inne iglaste; z liściastych zaś — klony, wiązy i śliwy. Wysokość takich drzew karłowatych bywa bardzo rozmaita, zależnie od wieku i stopnia rozwoju. Tuje miewają po 46 centymetrów, jałowiec 75 centym., sosny po 70 centym.; wiązy po 18 centym. Wiek drzew karłowatych, spotykanych w handlu, nie bywa zwykle tak stary, jak dawniej przypuszczano; przekroje okazów średniej wielkości wykazują zaledwie po 30—40 pierścieni rocznych; zdarzają się jednak i takie, które mają po 150 lat; starszych nie bywa prawie nigdy.

Karłowate drzewa japońskie znoszą bardzo dobrze klimat europejski, wymagają tylko starannego pielęgnowania, żeby zachować kształt właściwy. Nie nadają się przytem do hodowli pokojowej, lecz muszą być trzymane w ogrodach, na tarasach lub balkonach.

Japończycy, rozmiłowani w roślinności, wyróżniają z pośród niej, oczywiście — kwiaty. Począwszy od mikada, aż do najuboższego robotnika,

wszyscy pielęgnują kwiaty, i przystrajają się niemi. Rolnik siedzący na grządce ryżu, ma przy swojej chacie jakieś kwitnące drzewko i sadzone kwiaty, nieraz okap dachu rzędem irysów ozdabia, a jeśli w pobliżu jaki strumyk płynie, to sadzi nad brzegami piwonie i azalie. Jest to wpływ instynktownego odczuwania piękna w przyrodzie, które tak potężnie jaśnieje w sztuce japońskiej i zastosowaniu jej do przemysłu. Najmilszą ozdobą kobiet są kwiaty we włosach, ich zajęciem ogólnem doprowadzone do sztuki układanie bukietów i wicie równianek. Wazonów z kwiatami nie może braknąć w prywatnych i publicznych lokalach — nawet biedny kulis, zastępujący konia w kurumie, zatyka z fantazyą kwiat za ucho.

Miesiące w kalendarzu japońskim noszą nazwę kwiatów odpowiedniego sezonu; nazwy kwiatów dają rodzice swoim córkom. Barwa i haft na kimonie zmienia się wedle zmiany kwiatów w przyrodzie i tej samej zmianie sezonowej ulegają piękne kakemona, podłużne obrazy, jedyna ozdoba mieszkań japońskich, na których zazwyczaj kwiaty i obrazy przyrody są przedstawiane.

Szczytem objawów zamiłowania w przyrodzie są w Japonii narodowe święta kwiatów, będące dniami ogólnej radości. W porze zimowej, kiedy przyroda kwiatów nie wydaje, Japończyk nie może się obejść przynajmniej bez zieloności. W Nowy Rok stroi dom choiną, liśćmi bambusu, barwinkiem. Gdy wiosna zawita, a czereśnie, wiśnie i brzoskwinie okryją się lekkim, jak puch, kwieciem różowem, po całej Japonii rozbrzmiewa okrzyk wesela; naród obchodzi pierwsze święto kwiatów.

Ten tylko, kto widział wyspy Japonii, spowite blado różowem kwieciem, zdolny jest pojąć radość Japończyków, witających wiosnę. Wiśnia ich i czereśnia nie dają owocu jadalnego, a przecież tylko dla kwiatu, często pełnego i niezwykle wielkiego, wszędzie są hodowane. Cały naród formalnie czatuje na rozwinięcie się pierwszych pączków tych kwiatów — dzienniki zamieszczają biuletyny o stanie ich rozwoju, a depesze niosą wieść radosną, że tu i tam okryły się drzewa bujnemi kwiatami. Książęta krwi, ministrowie wyjeżdżają do takich miejsc, aby wraz z ludem witać wiosnę.

W stolicy najwięcej drzew czereśniowych jest w parku Uyeno i na brzegach Sumidagawy. Gdy zakwitną — to liści nie widać — kwiat bywa na nich duży, jak centyfolia i jak śnieg różowy, zdaje się ciężyć na gałęziach. Efekt jest tem silniejszy, że za tło służą im olbrzymie, ciemne kryptomerye. Nadzwyczaj subtelna woń przenika całe powietrze. Zaraz też rozpoczynają się wycieczki. Mikado zaprasza na nie dyplomatów i arystokracyę; posiadacze ogrodów, za pomocą kart, ozdobionych kwieciem czereśni, zapraszają krewnych i przyjaciół; pospólstwo udaje się do ogrodów publicznych i gajów, zasiada pod drzewami, przypina do nich hymny na cześć przyrody i kwiatów, biesiaduje w szałasach, udekorowanyyh obficie w kwiaty.

Zwłaszcza do Mukodzima, na południowschód od Tokio, gdzie rośnie mnóstwo drzew czereśniowych, dążą wycieczki rodzinne, t. zw. „hanami“, będące rozkoszą dla dzieci, które się bezwarunkowo na wycieczki zabiera. Pieszo, łodziami, w kurumach, dążą tam nieprzejrzane tłumy, wśród okrzyków wesołości i śpiewów. Wszędzie żywe barwy — na odzieży, wachlarzach i parasolach z papieru, a każda grupa odróżnia się jakąś barwną kokardą czy przepaską, żeby się w tłumie rozpoznać. Gdy wieczór zapadnie, rozbłyskują wśród drzew całe festony kolorowych lamp z papieru. Tańce, muzyka na fletach i samizach urozmaica zabawę, a sake, wódka ryżowa krąży w małych czareczkach porcelanowych i dodaje ochoty. Istny karnawał wiosenny. A drzewa obsypują rozweselony tłum lekkiemi, jak puch, płatkami kwiecia...

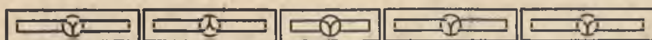
Po czereśniach i wiśniach, zakwitają piwonie i azalie, których wszędzie pełno. Nie są to mozolnie wyhodowane, nędzne krzewy, lecz istne drzewka, wysokości człowieka, rozwijające naraz kwiat swój tysiącami. W takim stroju występuje maj w Japonii. W czerwcu stawy i kanały przystrajają się fioletowemi kobiercami irysów, nieco później zakwitają prześliczne, blado-liliowe glicynie, rośliny pnące się wysoko po ścianach i murach, z których spływają pełnemi kwiatów kaskadami.

Do letniego święta kwiatów daje hasło lilia wodna, lotus, którego kwiat uważany jest za symbol cnoty i czystości. W Tokio rozkwita mnóstwo lotusów w wodach, otaczających zamek mikada, na jeziorze Szinobadzu i we wspaniałym parku cmentarnym. Tutaj na stawie poza główną pagodą, w otoczeniu olbrzymich kryptomeryi, wśród ciszy i cienia, wyglądają one najbardziej tajemniczo i ścielą się, jak przepiękny blado-różowy kobierzec.

Trzecie, największe święto kwiatów przypada pod jesień, gdy zaczynają kwitnąć chryzantemy, t. j. złocienie. Sztuka ogrodników japońskich wysila się, aby wytwarzać kwiaty złocieni w najrozmaitszych barwach i odcieniach, a przytem możliwie największe. I w tym kierunku doszli

oni do mistrzostwa. Związek Ogrodników w Jokohamie hoduje hryzantemy w 500 ogrodach i wytworzył z górą ośmset odmian tego kwiatu. W Tokio zajmuje się tą hodowlą całe przedmieście Dongozaka, a podczas jesiennego święta kwiatów, najwspanialsze okazy chryzantemów wystawiają się w cesarskich ogrodach Akesaka. Niektóre z nich mają kwiaty wielkości talerza; inne z poskręcanemi płatkami, są podobne do kul śnieżnych; inne budzą podziw niezwykłą żywością barw. Osobliwości umieszczane są w oddzielnych kioskach bambusowych, do połowy osłoniętych gazą fioletową. Pospolitsze tworzą całe grzędy i pola, rozmieszczone wedle kolorów. Całemi dziesiątkami tysięcy gromadzi się tu ulubiony kwiat Japończyków. Wśród nich spotykają się olbrzymy do 2 metrów wysokie i rozwijające jednocześnie do 600 kwiatów.

Do ogrodów cesarskich, na wystawę złocieni' zapraszane są wyższe sfery — tłumy zaś zwykłych śmiertelników dążą na przedmieście Dongozaka, gdzie w szałasach gromadzą ogrodnicy już nie pojedyńcze doniczki z kwiatami, lecz układają z nich całe krajobrazy, sceny rodzajowe, bądź też sceny z ulubionych sztuk teatralnych. W tym celu używają oni kwiatów nie zrywanych, lecz rozwijających się w doniczkach, które ustawiają na kunsztownych rusztowaniach z bambusu. W ten sposób tworzą skały, wodospady, groty, postacie w zbrojach lub sukniach wzorzystych i t. p. Twarze, ręce i nogi tych postaci są z wosku, zręcznie wśród kwiatów ukryte. Takie obrazy zachowują swą świeżość całemi tygodniami.



Leczenie paralityków przy pomocy hypnotyzmu.

Dr. Alfred J. Fox z Nowego Jorku twierdzi, że uleczy Konrada Schaumburgn, paralityka od czasów niemowlęcych, którym już inni lekarze wcale się nie chcieli zajmować, za nieuleczalnego go uważając. Schaumburg, którego nogi były sparaliżowane i bezsilne od urodzenia prawie, może jednak teraz chodzić na krótki dystans bez używania szczudeł. Dr. Fox leczy go przy pomocy hypnotycznej suggestyi.

Schaumburg liczy teraz lat 27. Górna część jego ciała jest silnie i regularnie rozwinięta, ale nogi jego tak słabe, jak nogi dziecka. Przed sześciu miesiącami nie mógł się niemi wcale posługiwać; wówczas to wziął go dr. Fox w swoją kuratelę.

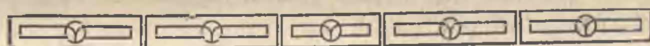
Położył go na kanapie i uśpił go przy pomocy swej siły hypnotycznej.

— Teraz — powiada lekarz — dam ci się napić najlepszego leczniczego nektaru, jakiego kiedykolwiek człowiek spróbował.

Podał szklankę zwyczajnej wody swemu pacyentowi, który ją wypił i z widoczną ulgą odetchnął.

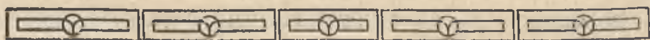
Lekarz wmówił następnie w Schaumburge, że nektar, który wypił, przywraca obieg krwi i tworzy włókna i ścięgna w jego nogach; że swoje nogi ma pod swą kontrolą tak samo, jak każdą inną część ciała. Pacyent podnosił na kanapie swoje nogi w górę, na dół je spuszczał i w bok poruszał. Taką kuracyę prowadził lekarz przez pewien czas, poczem pacyenta zbudził ze snu hypnotycznego. Powstał i chodził po pokoju bez szczudeł. Kiedy wychodził z biura lekarza, szczudeł użył tylko wtedy, gdy przechodził przez mroczny korytarz.

Dr. Fox wierzy mocno w to, że za drugie sześć miesięcy pacyent jego tak dobrze będzie chodził, jak każdy normalny człowiek, który nigdy nie miał paraliżu w nogach.



Samobójstwa w Rosyi.

„Russkoje Słowo" zebrało ciekawą statystykę samobójstw, dokonanych w ciągu miesiąca lipca. W 52 miejscowościach Rosyi europejskiej dokonano 721 zamachów samobójczych; z tych 396 skończyło się śmiercią. Pod względem ilości pierwsze miejsce zajmuje Petersburg (43 samobójstwa i 86 nieudanych zamachów samobójczych). W większości wypadków powody samobójstw nie zostały wyjaśnione. Ośmiu mężczyzn zabiło się z powodu nędzy, 4. pod wpływem pijaństwa, 4. wskutek roztrwonienia cudzych pieniędzy. Jeden z desperatów odebrał sobie życie wskutek niepowodzenia na egzaminach, jeden — policyant — z powodu „nadmiaru grzechów na sumieniu". Wród kobiet głównym motywem rozpaczliwego kroku była nieszczęśliwa miłość (8 wypadków). W jednym wypadku powodem do samobójstwa było znęcanie się ze strony rodziców, w drugim po umarłej matce. Drugie miejsce pod względem ilości zajmuje Moskwa (27 samobójstw, 34 zamachy nieudałe), dalej idą: Odesa (24 samobójstwa, 44 zamachy), Rostów (15 — 13), Kijów (13 — 29), Ryga (13 — 15), Charków (17 — 24). W Warszawie w tym samym przeciągu czasu zabiło się 7 mężczyzn i 4 kobiety. Zamachów samobójczych dokonało 14 mężczyzn i 17 kobiet.

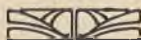


DLA ROZRYWKI

Sprzedaję.

Kierownik zwraca się do jednego z obecnych i mówi: „Sprzedaję panu miasto Lwów, jest w tem mieście ulica Karola Ludwika, a na tej ulicy Karola Ludwika jest 86 hoteli, a w tych 86 hotelach jest 139 schodów, a obok każdych schodów są korytarze, a w każdym korytarzu jest po 426 numerów, a w każdym numerze jest...“ mówi mu coś do ucha, a potem dodaje głośno: „podaj pan dalej ale na odwrót“. Osoba, zaatakowana w te słowa, zwraca się do innej osoby i mówi jej coś naprzód po cichu i dodaje głośno — „to jest w każdym numerze, a każdy numer jest jednym z 426 na każdym korytarzu, a każdy korytarz jest obok schodów, a schodów jest 139 w 86 hotelach, a 86 hoteli jest przy ulicy Karola Ludwika, a ulica Karola Ludwika znajduje się w mieście Lwowie, które panu sprzedaję“. Kto nie potrafi powtórzyć zadanego zdania (może być i bez cyfr) odwrotnie, ten płaci fant.

Naturalnie można równie dobrze sprzedawać ubranie od tego a tego krawca przy tej a tej ulicy itp. Byle śmiechu jak najwięcej!



Wędka.

W tę zabawną grę bawić się może od 4 do 20 osób. Jako przyrząd potrzebną jest do niej wędka, t. j. trzcina od 2—2½ stóp długości ze sznurkiem na końcu, długim na 3—3½ stóp. Sznur jest zakończony pętlą, która się łatwo daje zaciskać i rozluźniać. Obecni siadają dookoła stołu, a przed każdym kierownik robi kredą kółko, które się zowie stawem. W środku zaś stołu rysuje się większe kółko, które zawsze należy do chwilowego rybaka. Pierwszym rybakiem jest kierownik zabawy. Bierze on wędkę do ręki i trzymając za kij, pętlę rozpościera w środku całego koła. Z chwilą gdy rybak krzyknie: „Każdy do swego stawu!“ obecni obowiązani są umieścić wskazujące palce swoich prawych rąk w środku kółek, będących przed nimi. Na komendę: „na prawo, do stawu sąsiada!“ — palce przechodzą do kółek z prawej, przy rozkazie: „na lewo“ — dzieje się odwrotnie. A gdy w końcu rybak zawoła: „Do mojego stawu!“ — wszystkie palce wskazujące cisną się w środek pętli na kółko rybaka. Ten podnosi wędkę do góry, przez co pętla ściąga się i chwyta palce, które ujść nie zdołają. Te które się złapią, napróżno usiłują się wydobyć z uwięzi, bo pętla zaciśnie się coraz bardziej. Budzi to niesłychaną wesołość: Naturalnie złapani dają fanty.

Kto trzy razy (nawet nie po kolei) podnosił wędkę i nic nie złapał, ten oddaje wędkę sąsiadowi, który rozpoczyna grę jak wyżej.

Im prędzej następują rozkazy rybaka, raz w lewo, raz w prawo, to znowu do środka, tem towarzystwo myli się łatwiej i tem połów bywa pewniejszym.

Byle tylko pętla funkcyonowała należycie, a to jest już rzeczą kierownika zabawy.



Figiel warszawski.

Ktoś kupił w Warszawie u zegarmistrza zegar za 64 ruble, a zadatkowawszy 4 ruble, żądał, żeby zegar zaniesiono za nim naprzeciwko do cukierni, gdzie resztujące 60 rubli będą mu wypłacone. O co proszono, to i zrobiono. Służący odniósł zegar, a ów nieznajomy wszedłszy do cukierni, rzecze: „Proszę pana, bądź pan łaskaw te 60 oddać oto temu panu“,

— Bardzo dobrze — odpowie cukiernik i ów jegomość wyszedł z zegarem.

Gdy czas upływał, a człowiek od zegarmistrza naglił o prędkie zaspokojenie go, cukiernik wyniósł ogromny pakiet i oddając go, rzecze:

— Oto proszę i przepraszam za długie czekanie.

— Co proszę? pan się myli, to nie dla mnie!

— Jakto? wszakże panu ów jegomość kazał oddać wszystkie 60?

— Tak panie, mnie się należy 60, ale rubli, nie pączków.

Kwestya się rozwiązała, ale ze stratą zegarmistrza, bo owego jegomościa nikt nie znał w cukierni, a pączki już wpierw zapłacił.



Łamigłówki.

Arytmogryf.

1	2	4	9	7	3	7	2			
2	3	2	3	2	4					
3	5	12	5	12	7	8	1	4	9	7
4	2	10	2	4	2	11	8			
5	10	7	3	5	9	5				
6	7	6	14	7	5	11	8	9	2	
7	12	5	3	7	15	13				
8	10	7	8							
4	9	5	12	10	5	3	8	9		
9	10	2	9	5	12					
7	10	8	3	2						

Liczby zastąpić należy literami. Początkowe litery tworzą imię i nazwisko jednego z królów polskich.

Znaczenie wyrazów.

1. Mieszkanie podziemne. 2 Owoc południowy. 3. Współczesny kompozytor polski. 4. Znakomity skrzypek hiszpański. 5. Jeden z stanów zjednoczonych w Półn. Ameryce. 6. Zbiór książek. 7. Kąpiele w Galicyi. 8. Jezioro w Półn. Ameryce. 9. Ptak zwiastujący wiosnę. 10. Miasto w Galicyi. 11. Imię żeńskie.

Szarada

Trzecie, pierwsze, czas pogody,
Druga nigdy nie bez wody,
Wszystko drzewo dość wysokie,
I częstokroć dość szerokie.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 15. września na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 39.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 35.:

I. **Arytmogryf:**

IGNACY PADEREWSKI

Grecya
Nirwana
Ananas
Ceres
Yedo
Paganini
Arak
Darwin
Ewa
Rower
Eros
Wiedeń
Serenada
Krasiski
Irena

II. **Figiel zagadkowy:**

Ko—cham—cię.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Ludwika Bojukowa, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, „Czytelnia Robotników Salinarnych we Wieliczce", August Feix, Zygmunt Gaudnik, Emil Gruszecki, J. Inglot, Walerya Jankowska, E. Kamiński, Franciszek Ketzina, Emilia Kiszelska, Otylia Kostańska, Teodozya Kraliczkowa, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Romuald Kulczycki, Helena Mycoń, Wacław Nowosielecki, Alina Panasiewiczówna, Józef Pończa, Wanda Rostkówna, Aleksander Stobiecki, Piotr Stolarzewicz, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Eugeniusz Szulc, Władysław Trybała, J. Walisko, Anna Wełnianka, T. Weseli, Stefania Wdówkówna.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Kazimierz i Stanisława Balcerscy, Tomasz Cichowski, Wiesia Czypicka, „Janek z pod Góry Przemysława", Mieczysława Jarmużówna, Halina Jarnatowska, („Błędne Koło"), Kornelia Kempa, Zygmunt Krajewski, Zofia Kroll, A. Kujawski, W. Leszczyńska, Stanisław Markowiak, Józefa Matuszewska, Fr. Nawrocka, Stanisław Pietrzak, Leokadya Przewoźniak, Tadeusz Przybyszewski, Helena Rucińska, Stanisław Schoepe, Paweł Słomiany, J. Strugarek, Jadwiga Theimert, Kazimierz Waligórski, J. Wawrzynkiewicz, St. Wieczorek, Ludwika Wyrzykowska, Oleńka Żurkowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Pelagia Dlużewska (Rummelsburg p. Berlin), Hieronim Jaworowski (Drezno), Józef Kelner (Niem. Lutynia — Śląsk austryacki), Ignacy Matuszak (Altenessen), Wawrzyniec Rapiór (Oberhausen — Nadrenia), Władysław Sokołowski (Berlin), Emilia Świątkowska (Monachium).

Nagrodę otrzymali:

pp. Halina Jarnatowska (Poznań), Czytelnia Robotników Salinarnych (Wieliczka), Ludwika Wyrzykowska (Koźmin), Walerya Jankowska (Nowy Sącz — Galicya).

Uwaga: *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.*

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 37

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nic gorszego spotkać mnie nie może.

Żachnął się i umilkł. Po chwili przyjechali na Nowy Świat. Wolscy mieszkali na drugiem piętrze; otworzył lokaj.

— Państwo są w domu.

Taki sam ciemny pokój, ten sam zaduch naftaliny i gazu, salon był trochę inny, boć były panny w domu, potrzebna była reklama talentów, i estetycznych aspiracyi. Fortepian był otwarty, była jedna snać przybrana za muzykalną, ekran z wyhaftowanym jakimś cudakiem ptasiego rodu zasłaniał dół pieca, stół zdobiły popielniczki, drewniane noże i t. p. przedmioty sztuki, stosowanej bardzo elementarnie przez drugą zapewne pannę Wolską, nareszcie ostentacyjnie leżała rozłożona książka na kanapie, jakby przed chwilą czytająca wstała.

Kazia wzięła książkę do rąk i spojrzała na tytuł: „Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski."

Zaczęła ją przeglądać, ale chociaż otwarta była w połowie, mało co kart było przeciętych.

Oczekiwanie się przedłużało. W głębi mieszkania słychać było ruch, szepty, dyskretne śmieszki, wreszcie ukazała się mama Wolska.

I ta była tuszy okazałej, otyłość jeszcze bardziej uwydatniała suknia obcisła, modna toaleta młodej matki dorastających córek.

Kazia mimowoli przypomniała sobie zdanie Radlicza: „Warszawianka pod starość, jak się spasie, to na pokaz; jak wychudnie, to na postrach!"

Powstała na powitanie, pani Wolska przeszyła ją wzrokiem, potem krytycznie obejrzała toaletę, i majestatycznie podała jej dłoń.

— Bardzo mi miło poznać nowego członka rodziny! Jakże się pani Warszawa podoba?

Kazia się uśmiechnęła! Ile razy posłyszy dziś to pytanie.

— Nie pierwszy raz tu jestem! — odparła. — Chociaż, co prawda, mało jeszcze znam miasto.

— Bywacie zapewne często w teatrze? Prawda, że jeszcze nie sezon. Zaledwie od tygodnia wróciliśmy z wód, nie mogę się jeszcze połapać.

— Była ciocia, jak zwykle, w Trenczynie? — spytał Andrzej.

— Nie. Doktor Morawski wyprawił nas do Zopot. Jadźka była bardzo osłabiona. Wiesz, pożegnaliśmy w Dreznie Zośkę. Została dla malar-

skich studyów. No, i wiesz zapewne, że i Jadźka nie długo z nami zostanie!

— Nie wiem, ale z góry życzenia składam.

— W Zopotach poznaliśmy pana Bukowskiego. Zamożny obywatel z Ukrainy! Są po słowie!

W tej chwili weszły do salonu dwie panny, przeciętnie przystrojone, przeciętnie ubrane, przeciętnie szykowne i eleganckie. Szczęśliwa narzeczona, pokazująca ostentacyjnie tradycyonalny zaręczynowy pierścionek z turkusem, miała smętny, rozmarzony uśmiech na twarzy, druga kokietowała fryzowaną grzywką, zalotnem spojrzeniem i figurą toczoną.

Kazia wbijała sobie w pamięć ich rysy i myślała ze zgrozą, jak je pozna i czy pozna na ulicy, tak były banalnie przeciętne!

— Moje córki, Jadwiga i Marya! — przedstawiła matka.

Panienki zabrały się do bawienia Kazi i naturalnie zaczęły:

— Jakże się pani podoba Warszawa?

— O, bardzo! A paniom lato wesoło zeszło?

— Średnio! — odęła usteczka Mania. — Ja się najlepiej bawię w Warszawie. Mamy bardzo miłe muzykalne kółko! Żeby się już sezon rozpoczął! Pani lubi muzykę? Gra pani sama?

— Trochę, zaledwie znośnie! Muzyki, kto nie lubi?

— Gdzie pani robiła wyprawę, tutaj, czy zagranicą? — spytała Jadzia smętnie.

— Tutaj. Opiekowała się nią moja koleżanka Tunia Dąbska.

— Mama się waha jeszcze, gdzie robić. Mój Boże, jaka to praca mozolna — westchnęła. — A najciężej mi się pogodzić z myślą, że już tak prędko pożegnam na zawsze Warszawę.

— Lubi pani wieś zapewne?

— Nigdy na wsi nie byłam, tylko na letniem mieszkaniu. Trzeba będzie przywyknąć! Podobno tam bardzo ludne i wesołe strony. Na zimę przyjadę do Warszawy, a na lato sprowadzę siostry i mamę.

Andrzej, zabawiany przez mamę Wolską, powstał.

Poczęto się żegnać bardzo uprzejmie, ale ledwie się drzwi zamknęły, Mania parskuęła śmiechem.

— A to sobie wynalazł indyczkę!

— A brzydka, a chuda! — dodała Wolska.

— Toć to niema o czem mówić z nią. Siedzi, jak zamalowana.

— On znudzony, zły, bez humoru. Zestarzał, zbrzydł.

— Tak się zmarnować! Tak skończyć!

— Moja mamo, a któżby za niego poszedł? Któżby się naraził na śmieszność? Trzeba być wiejską gęsią, lub nie mieć już krzty ambicyi.

Ukazały się jeszcze dwie panny. Najstarsza Liza, która od paru lat uderzyła w dewocyę, i najmłodsza Terenia, uparcie udająca podlotka.

Przez szparę w drzwiach obejrzały już gościa, przyłączyły się do krytyki! Gadały i gadały, aż się zjawił Wolski z biura; opadły go jak sroki, trzepiąc wszystkie razem.

Wolski, zahukany, zmęczony pracą, słuchał półuchem — myśląc, żeby jak najprędzej zjeść obiad i pójść na winta.

— Kiedy oddamy wizytę? — spytał obojętnie.

— Nic pilnego. Ja sobie wcale bliższych stosunków nie życzę, zdecydowała pani. Smarkata wcale mnie ciotką nie nazywała, nosa drze! Co to się takiej gęsi zdaje! Nędzarka, podobno na wyprawę dał prezes, a teraz tony przybiera. Biedny Andrzej, żal mi go.

— Prezes mi mówił, że z synowej bardzo rad — bąknął Wolski.

— Co miał powiedzieć. Nie znasz Sanickiego, czy on kiedy mówi, co myśli? Stary hipokryta!

— Co nam do tego? Wizytę złożyli, chcecie tam bywać, bywajcie, nie to nie. Ja na winta do starego pójdę, bo mnie zaprosił, a teraz dawajcie obiad, bo muszę jeszcze wieczorem wstąpić do biura.

Nowożeńcy tymczasem wstępowali w progi stryjostwa Sanickich.

Tu do zapachu naftaliny i gazu dołączył się zapach dzieci. Gdy weszli, ujrzeli w głębi przedpokoju dwoje starszych chłopaków w gimnazyalnych bluzach; popychali się, kto pierwszy zobaczy i pozna gości i rzucili się w głąb, krzycząc z całych płuc:

— Mamusiu! to nie krawcowa, to Andrzej z jakąś panią. Niech mamusia się duchem ubiera.

— Feliś, będziecie cicho! — odpowiedział głos kobiecy. — Obudzicie Maniusię. Nie wychodźcie do sali.

Ale chłopcy już byli tam razem z gośćmi. Obejrzeli Kazię i zaczęli gimnastykować po meblach, rozmawiając poufale z Andrzejem.

— Ojca niema? — spytał.

— Co ma być? W Banku siedzi.

— Dawnoście z letniego mieszkania?

— Już od tygodnia w sztubie.

— A ileście już razy w kozie siedzieli?

— Po co ci wiedzieć? I tyś kiedyś siedział!

Poręcz krzesła trzasła, chłopak zwalił się na ziemię, aż jękło, w tej chwili matka weszła.

— Feliś, znowu psocisz! — zawołała żałośnie.

Chłopcy wpadli jej pod nogi, koziołkując i zniknęli z horyzontu.

— Witam i przepraszam za tych łobuzów — zawołała wesoło, wyciągając do Kazi obie ręce. Andrzej do tego przywykł i panią pewnie uprzedził. Ogromnie żywe moje dzieci, a ja nie mam serca karcić je za niewinną swawolę. Siadajcie proszę. Zaraz Feliks nadejdzie. Wiesz, Andziu, chciałam się na ciebie już gniewać, że nam żonę tak kryjesz zazdrośnie.

W tej chwili powstał w mieszkaniu wrzask i płacz, pani się zerwała.

— Ach, rozbudzili małą. Muszę ją tu do siebie wziąć, bo się inaczej nie uspokoi.

Wróciła po chwili, dźwigając na rękach dużą, może pięcioletnią dziewczynkę, ryczącą w niebogłosy.

Przez dobre dziesięć minut nikt nie mógł przyjść do głosu, utulono pieszczotkę pocałunkami, pieszczotami, wreszcie służąca, wezwana na pomoc, przyniosła pudełko czekoladek i mała raczyła je łaskawie przyjąć na pociechę. Przyszli też do pudełka chłopcy, i pomimo, że mama zrazu dać im nie chciała, póty nudzili, aż odeszli z pełnemi garściami.

Maniusia na kolanach u matki nareszcie się uciszyła. Można było rozmawiać z biedą, chociaż chłopcy bawili się w konie i co chwila przelatywali jak huragan przez salę.

Pani Sanicka, młoda, przystojna szatynka, podobała się Kazi, Andrzej widocznie też lubił stryjenkę. Żartowali ze sobą poufale.

— Musi ci się przykrzyć w mieście! — rzekła, zwracając się do Kazi. — Męża masz bałamuta, znajomych żadnych, no i mało co do roboty.

— Oddałam się w służbę pani Ramszycowej, mam pół dnia zajęte.

— Nie tęskno ci do wsi?

Kazia podniosła na nią oczy.

— Pani pewnie także ze wsi?

Roześmiała się kobieta.

— Tak. Widzisz, że cię rozumiem. Ja rodem z krakowskiego! Tęskniłam ogromnie z początku do pierwszego dziecka. I tobie to przejdzie!

Zaśmiała się znowu.

— Piętnaście lat jestem zamężna. Czworo mam tych urwisów.

— Tymczasem — uśmiechnął się Andrzej.

Poczerwieniała, pogroziła mu palcem.

— Nie żartuj! Ja się nie zarzekam, a ciebie może czeka siedmioro. Chciałabym widzieć prezesa w gronie wnucząt. Tobym mu dopiero odpłaciła drwinami!

— Ojciec wcale nie krytykuje ilości dzieci stryjenki, tylko systemu wychowania nie pochwala.

— Niech się mnie spyta, czy ja system twego wychowania pochwalam.

— Nie? Doprawdy? Dlaczego? Mebli nigdy nie łamałem, a biegać „w konie“ nie miałem z kim.

— No, no! Łamałeś i łamiesz droższe przedmioty, niż meble, a bierzesz na kieł, jak najdzikszy koń! Ty mi się tylko za ideał nie przedstawiaj. Ach, Boże! Oto i Feliks! Muszę się zająć obiadem.

Uniosła w ramionach Maniusię i zjadając ją pocałunkami, znikła, rzucając wchodzącemu mężowi:

— Są Andrzejowie!

Sanicki poważny, flegmatyczny, pedant, powitał młodą parę, ale go wnet opadły dzieci i nie dały rozpocząć nawet rozmowy.

W głębi mieszkania wrzeszczała Maniusia. Andrzej miał dosyć całej familii.

Gdy się znaleźli na schodach, wybuchnął:

— Możeby dość było tego na dziś, bo mi łeb pęknie.

— Dąbskich nie możemy opuścić! rzekła Kazia — a Ojciec bardzo zalecał także, by nie obracić starych Markhamów.

Coś zamruczał, spojrzał na zegarek i rozkazał stangretowi:

— Mazowiecka 7.

Był to adres Markhama.

Markham stary, bardzo bogaty przemysłowiec, od dziesięciu lat zdał interesa na trzech synów, sam żył bezczynnie, oddany manii zbierania starożytności.

Żona jego miała dwie manie: swatania i leczenia siebie i całego świata, oprócz tego chowała masę pinczerów i była patronessą różnych dobroczynnych instytucyi. Uważała się za umęczoną społecznemi obowiązkami.

Ciężką troską jej życia było: jak świat będzie istnieć, gdy jej do kierowania nim nie stanie.

Po przywitaniu i obowiązkowem: „Jakże się pani podoba Warszawa“ — spytała zaraz z przekąsem:

— Podobno pani jest adjutantem Ramszycowej?

— Adjutantem, nie — odparła spokojnie Kazia — ale pomagam jej, mając wiele wolnego czasu.

— Dużo amatorek nie znajdzie w Warszawie. Nie bardzo kto zechce się z nią kompromitować.

Był to radosny dla nas dzień, gdyśmy się od niej uwolniły. Wnosiła ze sobą chaos.

— Wtedy powstało takie oburzenie, że sama poczuła, iż musi się usunąć. Odetchnęłyśmy. Raczej pozbawić instytucyę jej tysięcy, niż stanąć pod pręgierzem opinii publicznej. Opowiadam to pani umyślnie, aby ostrzedz! Pani młoda, obca, niedoświadczona. Pani nie wie, co znaczy w świecie znajomość z taką Ramszycową. Tu idzie o największy skarb kobiety, o jej opinię i zdanie świata. Niech pani się cofnie, póki czas.

— Teść mój i mąż nie bronią mi tego zajęcia i stosunku! — odparła spokojnie Kazia.

— Ach, mężczyźni! zawsze obejrzą się po niewczasie, że postąpili nietaktownie. Zresztą i pani mąż i teść nie znają tej kwestyi, nie rozróżniają dobroczynności chrześciańskiej naszej, a takiej jakiejś dzikiej, socyalnej, demagogicznej, jaką wyznaje Ramszycowa. Zresztą nie wiedzą może i nie rozumieją, co to są feministki, to jest cała klika Ramszycowej. Stara jestem i doświadczona, jak matka panią ostrzegam! Jeśli nie chcesz zostać wyklętą z towarzystwa i kościoła, zerwij ten stosunek! Przystąp do nas, zapisz się na członka naszej świętej instytucyi! Wszak mi tego nie odmówisz?

— Z największą chęcią. Proszę mnie tylko co do obowiązków objaśnić, i nauczyć, co mam czynić!

— To dobrze! To dobrze! Dam ci tu zaraz ustawy, a po wtorkowej sesyi cię wprowadzę! Zaraz poznasz różnicę czynów i zasady!

Po chwili otrzymała Kazia moc papierów i książek, a twarz Markhamowej promieniała.

Zaprezentowała jej swe pinczery, oprowadziła po mieszkaniu, na pożegnanie ucałowała i dumna wyznała w duchu:

— Nawróciłam tę duszę i będę nią kierować.

Tymczasem „nawrócona dusza“ rozsypała na schodach papiery. Andrzej je zbierał.

— Co to za śmiecie znowu? — spytał.

— Ustawy jakichś dobroczynnych instytucyi, do których mnie chce wpisać pani Markham.

— Ta niezawodnie uderzy w dewocyę! — pomyślał o żonie i nic nie rzekł.

Pozostała im na ten dzień już tylko jedna wizyta, ale tam, u Tuni Dąbskiej, czuła się Kazia, jak w domu.

Domem trudno było mieszkanie Tuni nazwać, choćby dlatego, że pan domu był zwykle nieobecny, a pani żyła w nim, jakby na popasie.

Małżonkowie nie widywali się ze sobą nigdy prawie. Dąbski wychodził rano do sądu, obiadował pięć razy na tydzień co najmniej poza domem, resztę dnia spędzał w knajpie, pracował pół nocy w swym gabinecie nad sprawami klientów, lub pisał do gazet, bo się bawił literaturą.

W czasie zimowego sezonu przyjmowali we wtorki, wtedy każde z osobna bawiło gości, od czasu do czasu składali razem jaką etykietalną wizytę, zresztą bywali i znali pół Warszawy, ale każde z osobna.

Od dziesięciu lat skojarzone to stadło było ze siebie i losu zadowolone i szczęśliwe.

Dąbski, zdolny i pracowity, zarabiał grubo. Tunia miała zbytek i swobodę, byli bezdzietni, ogólnie lubiani i uchodzili za ideał małżeństwa.

Dzień pani Dąbskiej rozpoczynał się późno, około jedenastej, zwykle wizytą której z sióstr, lub kuzynek, których miała legion.

Zrywała się z łóżka, i w szlafroku rozpoczynała się śmiać, paplać, i miotać po domu, zawsze coś gubiąc, czegoś szukając, popędzając służbę, słuchając ploteczek i nowinek odwiedzającej i powtarzając bezustannie:

— Mój Boże, co ja mam na dzisiaj roboty, jak ja wydołam!

Tak biegając i paplając, myła się, czesała, piła kawę, dysponowała służbie, robiła rachunek z kucharką, wreszcie przeprowadzała siostrę czy kuzynkę do przedpokoju, i tam, gdy się wycałowały na pożegnanie, u drzwi samych stojąc, kończyły gawędkę, „dwa słowa“, które trwały do pierwszej. Płoszył je zwykle dzwonek nowej, już etykietalniejszej wizyty, przed którą kryła się pani Tunia do sypialni, wołając w odwrocie do lokaja:

— Proś do sali. Leontyno, prędzej, ubieraj mnie. Gdzie gorset, gdzie trzewiki? Mój Boże! czy przynieśli stanik od krawcowej? Żelazko do fryzowania! Co się stało z kluczami?

Zwykle jednak ten pierwszy gość zmykał, a pani Tunia ukazywała się zaledwie tym, którzy przychodzili około drugiej. Spóźniający się nie zastawali jej już w domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*** Czas odnowić przedpłatę! ***

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Właśnie w czasie tego napadu Pułaski stał z ochotnikami świeżo zaciążnemi, niedaleko Egg Harbourg. Szpiegi angielskie oznajmiły Fergusonowi o tym oddziale słabym i odosobnionym... Napaść nocna o mało się nie stała przyczyną klęski strasznej, a dla Pułaskiego sromu, którego by był nie przeżył.

Szczęściem Francuz Armand, oficer oddziału, zwietrzył wcześnie napad Anglików, a męstwo osobiste Pułaskiego, który jak lew rzucił się na nieprzyjaciela nie spodziewającego oporu — ocaliło ludzi i honor oddziału.

Wojna ta nieustannych napaści, wylądowań niespodzianych, nocnych wycieczek, podejść, a nadewszystko zniszczenia; pełna z obu stron okrucieństw i mordów — ciągnęła się dalej z wzrastającą zajadłością.

Cudownie ocalony oddział Pułaskiego przeznaczony był do armii Lincolna, który wzmocniwszy się po stratach poniesionych, nowemi zaciągani w południowej Karolinie, szedł przeciwko generałowi Prévost.

W pochodzie przez zniszczoną tę prowincyą, którą i Prévost napadał, Pułaski dowiedział się o zagrożonem przez Anglików Charlestown. Dowodził w tej twierdzy przyjaciel jego, generał Musterie, a milicyą Rutledge. Choć niepowołany i bez rozkazu umyślił się on przedrzeć i przybyć im w odsiecz.

Piękny ten kraj, który przebywali ochotnicy nasi, nosił na sobie ślady najokrutniejszego spustoszenia... Mimo to lasy otaczające Charlestown uśmiechały się całym wdziękiem wiosny południa; wonią Gardenii i Calwii, świeżą zielonością dębów swych... i klonów... W opuszczonych grodach kwitły drzewa pomarańczowe i róże okryte wieńcami... Gdzieniegdzie wśród tej zieleni opustoszały domek zawalony był trupami, które padły ofiarą wywołanej rzezi i okrucieństwa zbuntowanych murzynów. Czarni, poniszczywszy plantacye, po odejściu Anglików, musieli uciekać w lasy, a wielu z nich, zabranych w niewolę, poszło na wyspy Antylskie. Większa część plantacyi i farm stała zgliszczami i pustką... okropne przedstawiając widoki... Stosy trupów gniły poszarpane przez zwierzęta dzikie.

Przebywszy lasy, okalające Charlestown, Pułaski dosiągł twierdzy, której bronili jego przyjaciele. Twierdza główna na Sullivans Island i Fort Moultrie na prędce z palów yukki zbudowane, zatrzymywały go chwilę, bo ich tu serdecznie przyjmowano. Pułaski korzystając ze zręczności, ułożył był zasadzkę na Anglików, ale ta przez nieostrożność jednego z oficerów się nie powiodła. Zabawiwszy tu krótko, szedł dalej oddział dla połączenia się z Lincolem, przez równie zniszczone okolice.

Toż samo co spotkali w Karolinie, Anglicy zrobili w Virginii, James River, gdzie opanowawszy miast kilka, zrabowali je, w perzynę obrócili i uciekli do N. Yorku.

Walka była gorąca — często twierdze i pozycye co kilka dni przechodziły z rąk do rąk, jak Stoney Point — stanowczych jednak następstw te utarczki i wycieczki nie miały.

Oprócz murzynów Anglicy użyli także plemion indyjskich przeciw Amerykanom; okrucieństwa tych mściwych tłuszczy stawały się groźnemi, musiano i ich ścigać, odstraszać, a po ucieczce palić i niweczyć ich osady, aby choć grozą powstrzymać na wodzy tego nowego nieprzyjaciela.

D'Estaing szukając na morzu Anglików, spotkał się wreszcie po wycieczce ku Antyllom z admirałem Byron, ale bój ten nie był rozstrzygającym, acz dla Francuzów dość pomyślnym. — Popłynął potem do S. Domingo.

Ciąg dalszy nastąpi).



ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Obywatelu, nie widziałem jej twarzy, owinięta jest w mantylę i płacze, więcej nic niewiem o niej.

— Płacze! — powiedział Maurycy.

— Tak, ale bardzo cicho, bo tłumi łzy swoje.

— Płacze — powtórzył Maurycy. — Jest więc na świecie istota, którą do tego stopnia moja nieobecność niepokoi.

I powoli wszedł na górę za swym oficyalistą.

— Oto jest, obywatelko, oto jest! — wołał tenże wpadając do pokoju.

Maurycy wszedł za nim.

Wówczas spostrzegł w kącie salonu, jakąś drżącą postać, która twarz swą ukrywała pod poduszki; jakąś kobietę, którą byłby wziął za umarłą, gdyby nie słyszał konwulsyjnych jęków, które nią wstrząsały.

Dał znak oficyaliście, aby się oddalił.

Ten usłuchał i zamknął drzwi.

Wtedy Maurycy pospieszył ku młodej kobiecie, która podniosła głowę.

— Genowefa! — zawołał — Genowefa u mnie? jest-żem szalony, o mój Boże!

— Nie, tyś nie szalony przyjacielu — odpowiedziała młoda kobieta, przyrzekłam, że będę twoją, skoro ocalisz kawalera de Maison-Rouge. Ocaliłeś go! oto jestem, czekałam cię.

Maurycy nie dobrze zrozumiał znaczenia tych wyrazów, cofnął się wstecz i smutnie patrząc na Genowefę rzekł:

— Już więc nie kochasz mię Genowefo?

Łzy stanęły w oczach Genowefy, odwróciła głowę i oparta o poręcz sofy głośnem wybuchnęła łkaniem.

— Niestety! — mówił Maurycy — widzisz sama, że już mię nie kochasz! i co większa uczuwasz zapewnie jakąś ku mnie nienawiść, kiedy tak rozpaczasz.

Maurycy z taką dobitnością i boleścią wyrzekł te ostatnie słowa, że Genowefa spojrzała na niego i podała mu rękę.

— O mój Boże! — zawołała — czyliż ten, którego miałam za najlepszego, zawsze będzie samolubem?

— Samolubem! co to ma znaczyć Genowefo?

— To więc nie pojmujesz ile cierpię? Mąż mój przymuszony do ucieczki, brat z pod praw wyjęty, dom spalony i to wszystko w jednej nocy! Wreszcie ta okropna scena między tobą a kawalerem!

— Tak więc przyszłaś, jesteś tu, trzymam cię i już mię więcej nie opuścisz!

Genowefa zadrżała.

— I gdzież iść miałam? — z goryczą odrzekła. — Mam-że jakie schronienie lub przytułek, mam-że jakiego opiekuna wyjąwszy człowieka, który nałożył cenę na swą opiekę? O! wściekła i szalona przebyłam nowy most, a w biegu zatrzymałam się, aby się przyjrzeć ciemnej wodzie, szemrzącej pod jego arkadami; widok ten pociągnął mię, elektryzował. Tam, mówiłam sobie, tam, przytułek dla ciebie biedna kobieto, tam niezgwałcony spoczynek, tam zapomnienie!

— Genowefo, Genowefo! — zawołał Maurycy — i tyś to powiedziała?... Ależ chyba już mię nie kochasz?

— Powiedziałam — po cichu odrzekła Genowefa — powiedziałam i przyszłam.

Maurycy odetchnął i bezwładny upadł jej do nóg.

— Genowefo — szepnął — nie płacz Genowefo, pociesz się po tylu nieszczęściach, ponieważ kochasz mię, na imię... na imię nieba zatem, powiedz, że cię tu nie sprowadziła gwałtowność groźb moich. Powiedz, że gdybyś nawet nie była mię widziała dzisiejszego wieczoru, ujrzawszy się samą, opuszczoną, pozbawioną schronienia,

byłabyś tu przyszła, a przysięgam ci, że cię uwolnię od przysięgi do jakiej cię dziś zmusiłem.

Genowefa odpowiedziała mu spojrzeniem pełnem niezrównanej wdzięczności.

— Wspaniałomyślny! — rzekła — o! Boże, dzięki Ci, żem w tobie mój Maurycy ten przymiot odkryła!

— Posłuchaj mię Genowefo — mówił znowu młodzieniec — Bóg, którego tu wypędzają ze świątyń, ale którego wygnać nie mogą z serc naszych, które zapełnił miłością, Bóg uczynił wieczór dzisiejszy smutnym na pozór, lecz mimo to jaśniejącym radością i szczęściem. Bóg sprowadził cię do mnie Genowefo, oddał cię w moje objęcia i przemawia do ciebie mojem tchnieniem; Bóg nakoniec, tym sposobem wynagrodzić pragnie wszelkie nasze cierpienia, wszelkie nasze cnoty, których dowiedliśmy, pokonywając miłość, jaką mieliśmy za nieprawą, jakby uczucie tak długo nieskażone a zawsze tak głębokie mogło być występnem. Nie płacz więc Genowefo, i podaj mi twą rękę. Czy chcesz pozostać u brata? czy chcesz aby ten brat z uszanowaniem całował róg twej szaty — wyrzekł z założonemi rękami i szczerością — wyjdę za próg tego mieszkania, nie obróciwszy się nawet? Powiedz! daj znak, a przekonasz się, że i odejdę, że cię zostawię samą, swobodną i bezpieczną jak dziewica w świątyni. Ale przeciwnie, ubóstwiana Genowefo, jeżeli zechcesz pamiętać, żem cię do tego stopnia miłował, iż tylko co śmiercią tej miłości nie przepłaciłem, że dla tej miłości, którą możesz uczynić nieszczęsną lub szczęśliwą, zdradziłem moich stronników, żem znienawidził i obrzydził siebie samego, jeżeli przywołasz na pamięć wszelką błogość, jaką nam przyszłość nastręczyć może, siłą i energią naszej młodości i naszej miłości, któremi bronić będziemy poczynające się szczęście nasze przeciw każdemu, kto je zakłócić zapragnie! O! Genowefo, ty coś jest aniołem dobroci, powiedz, chceszże uczynić mię do tyla szczęśliwym, iżbym nie żałował życia, iżbym już tylko wiecznego szczęścia pożądał? Wtedy zamiast odtrącać mię od siebie, uśmiechnij się do mnie, moja Genowefo, dozwól niech twą rękę przyłożę do mojego serca, pochyl się ku temu, który cię natchnie całą swą potęgą, wszelkiemi życzeniami, całą swą duszą. Genowefo, moja miłości, moje życie, nie pozbawiaj mię twej przysięgi!

Słysząc te słodkie wyrazy, serce młodej kobiety wzdymało się: pragnienie miłości, znużenie przeszłemi cierpieniami wyczerpywały jej siły, oczom jej łez już zabrakło, a jednak łkania wyrywały się jeszcze z jej pałających piersi.

Maurycy pojął, że Genowefa już mu się dłużej opierać nie zdoła, chwycił ją zatem w swoje objęcia. Wtedy głowa jej opadła mu na ramię, a długie rozplecione warkocze osłoniły gorące lica kochanka.

W tem uczuł Maurycy, że serce jej rzuca się miotane jakąś wewnętrzną burzą.

— O! ty płaczesz Genowefo — rzekł głęboko zasmucony — ty płaczesz. O! uspokój się. Nie, nie, pogardzającej boleści nigdy miłości mojej narzucać nie będę. Nigdy usta moje nie splamią się pocałunkiem, który zatruwać będzie choć jedna łza żalu.

I rozdwoił żywy pierścień swych ramion, odsunął swe czoło od czoła Genowefy i odwrócił się powoli.

Ale natychmiast, wskutek reakcyi tak wrodzonej kobiecie, która się broni, a pragnie mimo obrony, Genowefa zarzuciła na szyję Maurycego swe drżące ramiona, gwałtownie go uścisnęła i lodowatą, wilgotną łzami twarz swoją przyłożyła do gorących lic młodzieńca, na których łzy te zastygły.

— O! — szepnęła — nie opuszczaj mię Maurycy, bo ty mi już tylko jeden na tym świecie pozostałeś!

V.

Nazajutrz.

Pogodne słońce wpadając przez zielone żaluzye, pozłociło liście trzech wielkich róż stojących w wazonach na oknie u Maurycego.

Te kwiaty tem przyjemniejsze w spóźnionej porze roku, napełniły wonią małą salkę jadalną znakomitej czystości, w której siedział Maurycy z Genowefą przy stole nie zbytkownie, lecz elegancko zastawionym.

Drzwi były zamknięte, gdyż na stole mieściło się wszystko czego potrzebowali biesiadnicy. Łatwo pojąć, że postanowili sami sobie usłużyć. W sąsiednim pokoju oficyalista krzątał się spiesznie zajęty jakąś robotą.

Ostatnie piękne dni lata przesyłały ciepło i życie przez szczeliny zazdrostek, sprawując, że liście róż oblane słońcem błyszczały jak złoto i szmaragdy.

Genowefa upuściła na talerz przepyszny owoc, który w ręku trzymała i zamyślona, samemi tylko usty uśmiechająca się, bo w oczach pełno jeszcze miała melancholii, siedziała milcząca, nieruchoma, ociężała, jakkolwiek żywa i szczęśliwa przy słońcu miłości, równie jak te piękne kwiaty przy słońcu nieba.

Wkrótce oczy jej zaczęły szukać oczu Maurycego i spotkały się nawzajem, bo i Maurycy także patrzył na Genowefę i marzył.

Wtedy Genowefa miłą i białą rączkę położyła na ramieniu młodzieńca, który zadrżał; potem oparła na nim swą główkę z zaufaniem i swobodą, które nieraz samą nawet miłość przechodzą.

Genowefa patrzyła na Maurycego nic nie mówiąc, ale patrząc, spłonęła.

Maurycy lekko pochylił głowę i dotknął swemi usty, otwartych ust kochanki.

Genowefa zbladła, oczy jej zamknęły się jak płatki kwiatu kryjącego swój kielich przed promieniami światła.

Gdy prawie zasypiali w tak niezwykłem szczęściu, wstrząsnął niemi przykry brzęk dzwonka.

Odsunęli się od siebie.

Wszedł oficyalista tajemniczo drzwi za sobą zamykając.

— To obywatel Lorin — rzekł.

— Ah! kochany Lorin — powiedział Maurycy — pójdę, wyprawię go. Przebacz Genowefo.

Genowefa zatrzymała go.

— Miałbyś nieprzyjąć przyjaciela — rzekła — przyjaciela, który cię pocieszał, pomagał, wspierał. Nie, takiego przyjaciela nie chcę ja rugować ani z twego domu ani z twego serca; proś go Maurycy, proś.

— Jakto, pozwalasz? — powiedział Maurycy.

— Nawet pragnę — odrzekła Genowefa.

— O! sądzisz, że cię za mało kocham! — zawołał Maurycy zachwycony taką delikatnością — a żądasz chyba abym cię ubóstwiał.

Genowefa pochyliła ku niemu zapłonione czoło i Maurycy otworzywszy drzwi wprowadził Lorina pięknego, jak dzień w swym półeleganckim ubiorze.

Lorin spostrzegłszy Genowefę zrazu zdziwił się, lecz natychmiast z uszanowaniem ją pozdrowił.

— Pójdź Lorin — rzekł Maurycy — i spojrzyj na panią, jesteś detronizowany, bo teraz istnieje ktoś, kogo przekładam nad ciebie, dla ciebie, Lorinie, byłbym poświęcił moje życie, dla niej, nic się nowego nie dowiesz, skoro ci powiem, żem poświęcił moje szczęście.

— Pani — rzekł Lorin z powagą zdradzającą głębokie wzruszenie — będę się starał kochać Maurycego bardziej niż ty pani, iżby on mię zupełnie kochać nie poprzestał.

— Siadajże pan — z uśmiechem rzekła Genowefa.

— Tak jest, siadaj — dodał Maurycy, który uścisnąwszy na prawo rękę przyjaciela, a na lewo rękę kochanki, napełnił swe serce całą radością, jakiej tylko śmiertelnik tu na ziemi zapragnąć może.

— A więc teraz już nie pragniesz śmierci, teraz już pewno nie zabijesz się.

— Jakto? — spytała Genowefa.

— O! mój Boże — rzekł Lorin — jakże człowiek jest zmiennem stworzeniem i jak słusznie filozofowie gardzą jego płochością! Otóż, czy wierzysz pani? on wczoraj chciał się rzucić w ogień, w wodę, on utrzymywał, że na tym świecie niema już dla niego szczęścia, a dzisiaj przecież znajduję go wesołym, szczęśliwym, dziś ma uśmiech na ustach, pogodę na czole, życie w sercu, a naprzeciw siebie dobrze zastawiony stół, prawda że nie je, ale to nie dowodzi, aby dziś miał być nieszczęśliwszym jak wczoraj.

— Jakto — rzekła Genowefa — on to wszystko chciał uczynić?

— Tak jest, to wszystko i wiele innych niedorzeczności, później to pani opowiem, bo w tej chwili zanadto jestem głodny, a i w tem wina Maurycego, który mię wczoraj spędził po całym cyrkule świętego Jakuba, pozwólcie zatem niech zacznę wasze śniadanie, którego żadne z was ani dotknęło.

— Prawda, Lorin ma słuszność! — z dziecinną radością zawołał Maurycy — śniadajmy, bośmy jeszcze nie jedli Genowefo!

I wyrzekłszy to imię rzucił okiem na Lorina ale ten nawet nie mrugnął.

— No! toś ty zgadł że to ona? — spytał Maurycy.

— Jeszczeby też! — odrzekł Lorin krając sobie spory kawał szynki.

— I jam głodna — przemówiła Genowefa podając swój talerz.

— Lorinie — powiedział Maurycy — wczoraj wieczór byłem chory.

— O! tyś był więcej nawet niż chory, bo szalony.

— Otóż! zdaje mi się, że dziś ty znowu musisz być cierpiący.

— A to dlaczego?

— Boś jeszcze nic wierszami nie powiedział.

— Właśnie o tem myślałem — rzekł Lorin.

Feb gdy jest pomiędzy Gracyami
Z lirą w ręku zasiada:
Lecz gdy dąży Wenery śladami,
Lira mu z rąk zawsze wypada.

— Brawo! zawsze czterowiersz — z uśmiechem rzekł Maurycy.

— I będziesz musiał na nim poprzestać, bo wypada nam pomówić o rzeczach cokolwiek smutniejszych.

— Cóż tam znowu nowego? — z niespokojnością zapytał Maurycy.

— Oto, że wkrótce będę miał straż w Conciergerie.

— W Conciergerie! — rzekła Genowefa — przy królowej?

— Przy królowej... tak przynajmniej sądzę.

Genowefa zbladła, Maurycy zmarszczył brwi i dał znak porozumienia Lorinowi. Ten ukroił sobie nowy kawał szynki dwa razy taki jak pierwszy.

W rzeczy samej królowę przeprowadzono do Conciergerie, gdzie się też za nią udamy.

VI.

Więzienie Conciegerie.

Na rogu Pont-au-Change i wybrzeża kwiatów, wznoszą się szczątki starego pałacu świętego Ludwika, który per ekscellentia nazywał się pałacem, jak Rzym nazywał się miastem i zachowywał tę monarszą nazwę, mimo, że jedynemi królami, którzy go zamieszkiwali byli pisarze sądowi, obrońcy i sędziowie.

Ten wielki i ponury dom sprawiedliwości, każe raczej lękać się, niż miłować tę surową boginię.

Tam znajdziesz nagromadzone w małej przestrzeni wszelkie sprzęty i atrybucye ludzkiej zemsty.

Tu są sale do pomieszczenia obwinionych, tu znowu drugie do ich sądzenia, niżej zaś kryjówki gdzie ich zamykają po osądzeniu; przy wrotach jest mały plac, na którym znaczą ich rozpalonem hańbiącem żelazem; nakoniec o pięćset kroków dalej, drugi plac większy i obszerniejszy, na którym ich zabijają, to jest na którym kończy się obraz naszkicowany w pałacu.

Widzimy więc, że sprawiedliwość lubi wszystko mieć pod ręką.

Idąc wzdłuż wybrzeża des Lunetes napotyka się szereg budynków przypierających jedne do drugich, ponurych, siwych, przebitych zakratowanemi okienkami, mających otwarte sklepienia a stąd wyglądających, jak zakratowane jaskinie; jest to Conciergerie.

Więzienie to ma kryjówki w które woda Sekwany nanosi muł czarny; ma tajemnicze wyjścia, któremi nieraz wysyłano do rzeki ofiary przeznaczone na niespodziane zatracenie.

W r. 1793 Conciergerie, jako niezmordowany dostawca żywności dla rusztowania, przepełnione było ofiarami, na których potępienie wystarczała nieraz jedna godzina.

O zaiste w owej epoce stare więzienie świętego Ludwika słusznie zasługiwało na nazwę hotelu śmierci.

Nocą pod sklepieniem jego bramy kołysała się czerwona ognista latarnia, jako złowrogie godło tej siedziby boleści.

W wigilią dnia, w którym Maurycy, Lorin i Genowefa razem śniadali, głuchy turkot wstrząsł brukiem wybrzeża i szybami więzienia, wreszcie ustał naprzeciw arkadowej jego bramy, żandarmi uderzyli w nią rękojeściami swych szabli i brama ta otworzyła się wpuszczając na dziedziniec jakiś pojazd, z którego wysiadła kobieta, skoro tylko bramę na nowo zamknięto, skoro znowu spuszczono jej rygle.

Natychmiast otwarte drzwiczki pochłonęły tę kobietę.

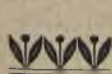
Kilka ciekawych głów, które przy świetle pochodni zapragnęły widzieć uwięzioną, to się pojawiło w półcieniu, to znowu znikło. Wkrótce nastąpiły gminne śmiechy i grubiańskie pożegnania między odchodzącymi, których słyszano lecz nie widziano.

Przywieziona osoba pozostała wraz z żandarmami zaraz przy pierwszych drzwiach i przekonała się, że jeszcze drugie przebyć wypadnie, lecz zapomniała, że przebywając je, powinna podnieść nogę a zniżyć głowę, bo u stóp jej są schody prowadzące na górę, u góry zaś sklepienie w dół spadające.

A tak uwięziona nieprzyzwyczajona jeszcze do architektury więzień, mimo długiego w nich pobytu, zapomniała pochylić czoło i gwałtownie uderzyła się o żelazną kratę.

— Czyś się skaleczyła obywatelko? — zapytał jeden żandarm.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

 Czas odnowić przedpłatę! 

DZIAŁ KOBIECY.

Pozory we wychowaniu naszych dzieci.

Przedewszystkiem się zastrzegam, że tego, co piszę, nie snuję z fantazyi; — doświadczyłam sama na swoich dzieciach skutków takiego wychowania na „pokaz“, a chyba takiem doświadczeniem warto się z drugimi podzielić.

Już od samego zarania życia naszego dziecka baczną zwracamy uwagę, ażeby ono się podobało! Więc bezustanna troska o ten wygląd nieszczęsny! Poskręcane w powijaki i swobody ruchów pozbawione, staje się później — jak słusznie autor Hygieny podniósł w którymś numerze „*Głosu*“, niewolnikiem pychy matczynej. Ta pycha nasza na niejedno pozwolić nie może, więc dziecko zamiast się swobodnie rozwijać, musi się krępować na każdym kroku, bo z kochającą matką nie przelewki! Niechno się biedactwo takie małe wywróci przypadkiem, albo pijąc poleje, to może być pewne, że kochana mamusia płazem mu tego nie puści, ale „wtrząśnie“ porządnie chociażby na ulicy i wśród gości.

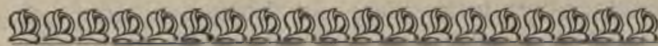
O charakter dziecka mniej- chodzi, a przecie w takich warunkach chowane, spaczyć się musi. To też bezkarnie patrzymy na chłopaka, trwoniącego pieniądze na głupstwa i urojone przyjemności, ale biada jeśliby się poważył mieć własne zdanie, czy to w wyborze zawodu, czy w czemkolwiekbądź, i rodzicielskiej powadze się sprzeciwić. — Taka sama rzecz z dziewczętami. Niech będzie w towarzystwie grzeczniutka, milutka i dobrze ułożona, to może sobie zato w kuchni na dziewczynach służebnych pofolgować, dokazując im, ile się zmieści. Zawsze i wszędzie pozor przedewszystkiem!

A czy Wy myślicie, Szanowne Czytelniczki, że takie ciągłe krępowanie woli naszego dziecka z błahej, bo powierzchownej przyczyny nie zemści się w skutkach i na nas samych? Możecie mi wierzyć, że się zemści i to bardzo boleśnie! Tyle razy, ileśmy — jak to mówią — „przesmradzały“ niepotrzebnie w początkach życia naszych dzieci, tyle razy będziemy musiały tolerować istotne przewinienia wobec nas samych, ażeby im przywrócić równowagę! Będziemy *musiały* — rozumiecie? Bo sprobujcie tylko nie naprawić tego zła i chować dzieci do końca przyjętym zwyczajem, a doznacie bolesnego rozczarowania! Któremu dziecku charakter się nie spaczy, to możecie być pewne, że czy prędzej, czy później lekarz i apteka będą mu towarzyszami do śmierci.

Więc zawróćcie z drogi póki czas — Kochane Czytelniczki moje — mniej nauki na pokaz, mniej denerwujących gam, mniej salonowego szyku i pozornej modlitwy — zato wpajajmy więcej doświadczenia, prawdziwego poczucia piękna, miłości bliźniego i uczciwości. Niech te nasze dzieci w domu rodzicielskim zaznają jak najwięcej wyrozumiałości — niech nam o to nie chodzi, żeby się „wszystkim“ podobały, boć musiałyby być chyba podług jednego szablonu chowane, — ale starajmy się zachować każdemu z nich jego odrębną indywidualność, bo to ich majątek.

Czemu to w mienniejszych domach, a czasem i mniej dostatnich wszystkie dzieci hurmem muszą brać lekcye muzyki, języków i przeróżnych doskonałości potrzebnych do popisów, a przecie jest rzeczą wręcz niemożliwą, ażeby jednostka wszystkie zdolności posiadła. Ale niema rady — masz chęć, albo niemasz — bądź rad, że ojciec na ciebie łoży i marsz na lekcyą? Tak — i tu w tym przypadku potrafimy okazać dużo stanowczości i energii, boć — coby znowu ten świat nieszęsny powiedział na to, żeśmy dzieciom stosownego wykształcenia nie dali!?

Ach to wykształcenie — pożal się Boże tym niedołęgom umysłowym i chodzącym automatom bez woli i energii, a oświeć nasze umysły, ażebyśmy sprostały tak szczytnemu zadaniu, jakiem jest — wychowanie dzieci.



Dziecko w świetle hygieny.

Krztusiec (Koklusz).

Koklusz znany jest od dawna, opisy tej choroby sięgają nawet czasów starożytnych, gdyż wspomina już o nim Hippokrates. — Nie będę wyliczała na tem miejscu całego szeregu epidemii, które rozmaite kraje w rozmaitych okresach czasu nawiedzały, powiem tylko, że szczegóły, dotyczące przebiegu tej nad wyraz uciążliwej choroby, posiadamy właśnie dzięki często powtarzającym się epidemiom — przeważnie zaś od epi-

demii, która nawiedziła Paryż jeszcze w XVI-tym wieku.

Nie pomylimy się twierdząc, że koklusz panuje w dużych miastach stale i że tylko od czasu do czasu pojawiają się mniej lub więcej groźne epidemie. Jest to choroba zakaźna — wywołana swoistym lasecznikiem. Zaraźliwość krztuśca jest bardzo wielka, żywotność natomiast zarazka kokluszowego nie jest długotrwała (co jest bardzo ważnem dla dezynfekcyi). Zarazek znajduje się przeważnie w plwocinie, tej przeto najbardziej należy się wystrzegać. Zakażenie kokluszu przenosi się z osoby na osobę, a także przez osoby zdrowe i przedmioty martwe (zabawki książki itp.).

Zaraźliwość istnieje przez cały czas trwania kokluszu (6—8 tygodni niekiedy dłużej, niekiedy krócej). Okres wylęgania wynosi 7—9 dni, jeżeli zatem zdrowe, odosobnione dziecko po tym okresie czasu na krztusiec nie zuchoruje, to znaczy że się nie zaraziło. Ponieważ zarazek znajduje się głównie w wydzielinach gardła i nosa, przeto należy zbierać takowe na watę i tę palić, bądź do specyalnych chustek, które zalewa się rozczynem karbolu na 24 godziny; po tem zaś gotuje. (Odpowiedni rozczyn karbolu przepisze lekarz). Starsze dzieci, które umieją spluwać, powinny to czynić do naczyń na ten cel przygotowanych, napełnionych 3 proc. roztworem lizolu. W tym czasie, kiedy dzieci chorują na koklusz należy bardzo często wietrzyć mieszkanie, gdyż świeże powietrze wywiera zbawienny wpływ na chore dzieci. O ile wysyła się dzieci na wieś lub do parku, to przestrzegać należy, by chore nie bawiły się ze zdrowemi, gdyż te ostatnie przez obcowanie z choremi łatwo zarazić się mogą, a nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło, niechaj o tem pamięta każda matka.

Na koklusz zapadają przeważnie dzieci, im dziecko jest młodsze tym bardziej jest skłonne do przyjęcia zarazka, po 10-tym roku życia skłonność do zachorowania na krztuciec się zmniejsza, co wszakże nie wyklucza możliwości zachorowania na tę chorobę zarówno starszych, jako też i dorosłych.

Po przebytej chorobie należy zrobić dokładne porządki, można się obejść bez tak ścisłej dezynfekcyi, jak po dyfterycie i szkarlatynie, gdyż, jak to wyżej zaznaczyliśmy, żywotność zarazka kokluszu nie jest tak długotrwałą. Zaraźliwość istnieje przez cały czas trwania choroby, tak długo, dopóki nie ustąpią napady kaszlu.

Zaznaczę tutaj, że przebycie kokluszu nie chroni od powtórnego zachorowania, dlatego też nie należy pozostawiać z choremi na koklusz dzieci, które już raz koklusz przebyły.

Jak już mówiłam poprzednio, nie należy pozwalać bawić się chorym dzieciom ze zdrowymi. Często bardzo zapominają o tem rodzice i wysyłają dzieci chore dla zmiany powietrza na wieś, (co jest nawet dobrym środkiem leczniczym) mówię zapominają, bo nie przypuszczam, by chcieli, wiedząc o zaraźliwości krztuśca narażać inne dzieci na chorobę, która jest plagą wieku dziecięcego. Z tego punktu widzenia wychodząc, nie należy też dzieci chorych na koklusz wysyłać do miejscowości leczniczych, o których wiadomo z góry, że dzieci tam będzie dużo. To też należałoby życzyć, by w każdym kraju, a w szczególe u nas, gdzie koklusz panuje stale, istniały specyalne sanatorya oraz kolonie letnie dla dzieci chorych na koklusz. Tym sposobem ograniczyłoby się szerzenie zarazy, a jednocześnie pozwoliłoby się korzystać i chorym dzieciom ze zbawiennego wpływu świeżego powietrza na wsi lub w sanatoryum, urządzonym według przepisów hygieny, w którym jest możliwe odosobnienie dzieci.

Dr. med. Matylda Biehler.

Dom i kuchnia.

Przepis na kruchę ciastka.

(Łaskawie nadesłany).

Trzy czwarte funta mąki, pół funta masła, ćwierć funta miałkiego cukru (faryny), 4 żółtka urobić na ciasto, rozwalkować jak kto lubi, cienko lub grubiej, i powykrawać filiżanką ciasteczka. Nie wierzchu smaruje się je rozbitem jajkiem i piecze w gorącym piecu, aż nabiorą pięknego pomarańczowego koloru. Ciastka te podawać można na deser; robi się wówczas dokoła ciastka brzeg, a w środek nakłada się konfiturę.

Zupa ze świeżych śliwek.

Ze śliwek wyjąć pestki, nalać wodą i rozgotować, przetrzeć przez sito (można i nie przecierać), dodać trochę cukru, skórki cytrynowej i kawałek cynamonu i zaprawić śmietaną lub mąką kartoflaną. Do zupy tej gotują się osobno na wodzie kluseczki, wąskie, długie, lub też podają się grzanki z rogalików maślanych.

Szklany korek gdy się zatnie,

wyjmuje się w następujący sposób: Wstawić flakon do letniej wody, szyjką na dół i wodę stopniowo ogrzewać. Kiedy już dobrze gorąca, wyjąć i spróbować czy korek nie ustępuje. Jeżeli nie włożyć napowrót do wody i ogrzewać, dopóki korek nie da się wyjąć.

:: HUMORYSTYKA ::

Powód.

— Gra pan w karty?

— Nie.

— A pije pan?

— Nie.

— Więc może pan pali?

— I to nie.

— Bywa pan w teatrze?

— Nigdy.

— Więc oprócz wody nic pan nie pije?

— Nic.

— No, to w takim razie najswobodniej może mi pan pożyczyć 25 marek.



Pewien żydek imieniem Izaak, otwierając handel, radził się swego przyjaciela, jak zamienić swoje imię żydowskie, aby początkującej litery takowego, tj. litery „I“ nie zmieniać. Ktoś mu radził zmienić je na „Inocenty“.

Ojciec owego żydka, właściciel dość pokaźnej fortuny, słysząc tę radę, zgorszył się bardzo i krzyknął:

— Co to znaczy: ino c e n t y, ino c e n t y! dlaczego ino centy?!... Mój syn może sobie nazywacz: ino t y s z ą c e!!



Kieliszki.

Byłem wczoraj na śniadaniu u pana Cześnika... Do wódki postawiono pięć kieliszków; gospodarz z każdego pił do mnie, dając mi do czytania następujące na nich napisy:

1. Tysiące trosków a wiek tak krótki,
   Golnijmy wódki.
2. Trzeba raz drugi napić się bracie,
   W naszym klimacie.
3. Nim chwila dobrej myśli uleci,
   Pijmy raz trzeci.
4. Wypić raz czwarty, bierze pokusa,
   Zdrowie Bachusa!
5. Pijmy raz piąty, — niech każdy powie,
   Że ciepło w głowie.

I w samej rzeczy tak się stało: było ciepło i bardzo ciepło.



Niebezpieczne myślenie.

Pytano się raz pewnego żonkosia, którego magnifika znaną była z energii, dlaczego taki podrapany na twarzy!

— A!... całą noc dzisiaj b i ł e m s i ę z m y ś l a m i, czy lepiej czasem ustąpić żonie, czy nie ustępować i to są skutki...



Nagrobek.

Pewien pan, po śmierci swego służącego, postawił mu nagrobek z napisem:

„Tu leży mój wierny parobek Marcin.“

Ktoś złośliwy dopisał:

„Gdyś plac szpecił tym nagrobkiem,
On już nie był twym parobkiem,
Ani też ty — jego panem,
Więc go w nos pocałuj. Amen.



Mocne bicie serca.

Pewnego kmiotka z pod Babiej Góry, wybiła żona z tego powodu, że późną porą przybył do domu w stanie nietrzeźwym. Potem wyrzuciła go za drzwi. Skoro tenże znalazł się za progiem, wygłosił taki monolog:

„Moja Maryna beśkieryjo, to czasem jak sie uprze, to myrha musi na swojem postawić. — Ale, nie rób sobie z tego nic, mój Bartłomieju! — pociesza się poczciwiec. — Jo wiem, ze una i tak mo dobre s e r c e, tylko psiorzec to nase niescęście, ze uno jej casem za m o c n o b i j e...“



U lekarza.

— No i jakże, przykładałeś pan wódkę do oczu, jak przepisałem?

— Doktorze, przepisz mi inne lekarstwo! Dalibóg, ja wódki wyżej jak do ust, podnieść nie mogę!



Ludzie się boją, żeby na nich dachówka nie spadła, a gdyby posłyszeli, że na nich s p a d a jaka kamienica, toby się cieszyli.





PARASOLE

najlepszej jakości

męskie i damskie

od 3 kor., poleca

Teofil Bękner

Kraków, Długa 4.



Dla dzieci!

polecamy książeczki wydawane przez

Jadwigę z Łobzowa.

1) „Polne kwiaty" zbiór legend . . cena 70 hal.
2) „Jak ja się bawiła" wierszyki . „ 40 „
3) „O królewnie Kasi" powiastka . „ 40 „
4) „Trzeci Maj" obrazek . . . . „ 40 „
5) „Powinszowanie" wierszyki . . „ 30 „
6) „Przed latami" wiersze . . . . „ 50 „
7) „Paciorek" wiersze . . . . . . „ 50 „
8) „Pójdę ja pójdę" deklamacye . . „ 40 „
9) „Coś dziwnego" wiersze i powiastki „ 30 „
10) „Korale Marysi i Kasi" teatrzyk „ 20 „
11) „Król kochany" teatrzyk . . . „ 20 „
12) „Przeczytam kilka gawęd" . . . „ 24 „
13) „Krakowiaczek" wierszyki narod. „ 30 „

Dostać można w wszystkich księgarniach, albo pisać do Krakowa: **Jadwiga Strokowa, Kraków, Kilińskiego 5.**

Przyrządy i słoje

do konserwowania jarzyn i owoców **systemu Wecka** poleca wyłączny skład i sprzedaż

W. Halski, Kraków

Sukiennice 21, 22.

Cenniki ilustrowane na żądanie.

B. Wierzejski

Kraków Rynek, róg Floryańskiej

dostawca dla

Związku lekarzy

poleca w wielkim wyborze

Bieliznę białą i kolorową, Krawaty, Rękawiczki, Kapelusze.

Telefon Nr. 368.



W. Stachowicz

krawiec męski

W Krakowie. Rynek główny I. 29.

poleca na sezon wiosenny i letni wielki wybór materyałów angielskich, francuskich i krajowych.

Ceny umiarkowane.



Skład fortepianów

W. Barabasza

Kraków, Rynek 39, A-B.

dom W-go Fischera — poleca

instrumenta używane po cenach najniższych, tak do **wynajmu** jak i **sprzedaży.**

„Krajowy Kolejarz“
centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go każdego miesiąca, zawiera:
Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy i kronikę z życia kolejarskiego
Przedpłata wynosi rocz. **2 Kor.** półrocz. **1 Kor.** - - - - - kwartalnie **50 hal.** - - - - -
Przedpłatę przesyłać należy do
Administracyi „Krajowego Kolejarza“ ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.

„KUPIEC POLSKI“
największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.
“Kupiec Polski“ omawia sprawy kupiectwa wszyskich dzielnic polskich.
Ogłoszenia w „Kupcu Polskim“ najlepiej się opłacają.
„Kupiec Polski“ obfitością treści przewyższa nawet fachowe pisma niemieckie.
“Kupiec Polski“ ma czytelników we wszystkich sferach i dzielnicach Polski.
Prosimy żądać numerów okazowych.
Prenumerata: w Austryi 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.
„ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
„ w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.
Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła“ jest najstarszem pismem pedagogicznem w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.
Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.
Podaje obszerne informacye o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.
„Praktyka szkolna“ podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjętacyę w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA
ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO, miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności, wychodzi we Lwowie pod redakcyą Komitetu.
Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną“, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.
Przedpłata „Szkoły“ wynosi:
rzcznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „
Przedpłata „Praktyki szkolnej“ wynosi:
rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — · 90 „ — 2 „
Adres redakcyi i administracyi:
Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

ODRODZENIE
Czasopismo poświęcone sprawom współdzielczym, przemysłowym i ogólno-ekonomicznym
Wydawcą tego pisma jest „Związek Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych“ we Lwowie plac Smolki l. 4. działający w porozumieniu z Komisyą krajową dla spraw przemysłowych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym Związkiem przemysłowym i innemi wybitniejszemi organizacyami.
Przedpłata z przesyłką pocztową w Austryi rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.
Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca. Redakcya i administr. Lwów, pl. Smolki 4.

Gwiazdka Cieszyńska
pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha** wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przedewszystkiem sprawami narodowemi i ekonomicznemi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.
Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h, kwartalnie 1 k 75 h.
Za ogłoszenia płaci się **20 h** od wiersza drobnego; przy : : kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat :
Adres: **Redakcya i Administracya „Gwiazdki Cieszyńskiej“ — Cieszyn, ul. Schodowa 3.**

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

NOWO OTWORZONA

KAWIARNIA

„Casino"

w Krakowie, Rynek gł. l. 12

I-sze piętro.

.·. .·. .·. Sale bilardowe. .·. .·. .·.

Szachy.

Pokoje do gier towarzyskich.

Czytelnia.

Polecając się łaskawym względom P. T. Publiczności, pozostaję

z głębokim szacunkiem

Ludwik Franczek.

3 Korony wynosi rocznie z przesyłką pocztową prenumerata - - **Straży Polskiej.**

Straż Polska jest organem stowarzyszenia, noszącego tę samą nazwę, a mającego na celu obronę duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego.

Straż Polska nie służy żadnemu stronnictwu, jest pismem czysto narodowem.

Do współpracowników **Straży Polskiej** należą; prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. L. Caro. Dr. J. Flach. Prof Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński. Wiktor Gomulicki. Marya Konopnicka. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz. Lubecki. Prof. M. Magiera. Prof Czesław Pieniążek. Dr. J. Ptaśnik. Dr. Lucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz. C. Smólski. JE. Stanisław Tarnowski i t. d.

Adres: **Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.**

Skład i pracownia wyrobów zakopiańskich

Ign. MARCINKIEWICZA

w Krakowie, przy ul. Floryańskiej 6.

Poleca:

Peleryny zakopiańskie i tyrolskie, damskie i męskie, zwykłe i od deszczu **od 13 koron.** Guńki zakopiańskie damskie i dziecinne sabałówki, żuawki i stroje krakowskie. Serdaki futrzane męskie damskie i dziecinne, według oryginalnych wzorów zakopiańskich.

Filie: w Zakopanem i Rabce.

Z poważaniem

Ignacy Marcinkiewicz, kuśnierz, Foryańska 6.

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym

Tygodniku Narodowym.

Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitym skutkiem do mycia i utrzymania w czystości skóry na głowie. Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.

OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, millefleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy, posiada zapach przyjemny i nie jełczeje. Słoik 1 k.

PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia włosów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.
KRAKÓW — Sukiennice 20.
PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

Nikt nie żałował, kto kupił paloną

Dachówkę, Dreny, Wapno

CIESIELSKIEGO

16a

w Krakowie, ul. Garncarska 14 Telef. 1079.

„Przewodnik Kółek rolniczych“

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10 i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we **Lwowie, ul. Kopernika 11.**

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::

i najtańszy dziennik

w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego

miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“ celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych — numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Dyplom honorowy na Wystawie w Krakowie r. 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I p.

nad apteką pod „Białym Orłem“

pod Zamkiem L. 234 Filia w Krynicy **pod Zamkiem L. 234**

poleca Szanowej P. T. Publiczności

główny skład i pracownię

PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich, damskich, męskich i dziecięcych

po bardzo nizkich cenach,

oraz wielki wybór serdaków i wszelkich stroi zakopiańskich

Zamówienia i reparacye uskutecznia

15 **w jak najkrótszym czasie** 20

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych

St. Niemczyk

30 **KRAKÓW** L. 9.

Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI“

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,

wychodzi w Tarnopolu.

PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY.

Rok założenia 1904.

Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.